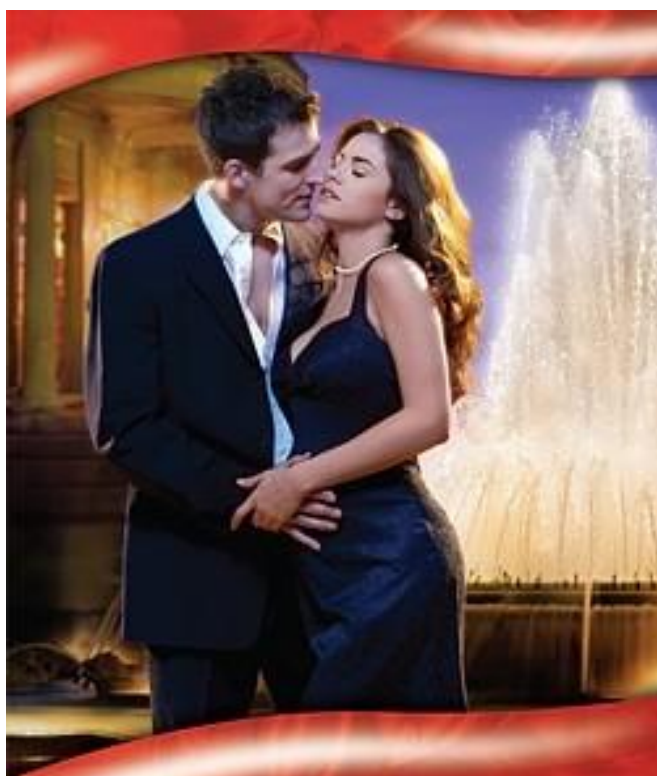




Emilie Rose



Podniebna miłość

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Znowu ta sama zabawa.

Lauren Lynch przemaszerowała przez hol krokiem szturmowym i dźgnęła przycisk windy tak mocno, że zabolął ją palec. Za każdym razem, kiedy przyrodni brat dzwonił z poleceniem, żeby stawiała się w jego biurze, czuła się jak uczennica, którą wezwano na dywanik do dyrektora szkoły.

Trent nie życzył sobie jej obecności w firmie i okazywał jej to bez najmniejszego skrępowania. Nie mógł jej wyrzucić, bo Lauren została zatrudniona jako pilot w Hightower Aviation Management Corporation na wyraźne życzenie ich matki. A ponieważ Jacqueline Hightower była prezesem zarządu i głównym udziałowcem, jej życzenie było dla Trenta rozkazem. Znosił więc obecność przyrodniej siostry, lecz jednocześnie robił wszystko, żeby zamienić jej życie zawodowe w piekło, licząc na to, że odejdzie z pracy lub popełni błąd, który ją zdyskwalifikuje. Od długich sześciu tygodni Lauren dwoiła się i troiła, żeby spełnić wymagania najbardziej kapryśnych klientów Hightower Aviation, dokonywała cudów zręczności, lądując na małych, niespełniających standardów lotniskach, i testowała swoją wytrzymałość, dyżurując w kokpicie po kilkanaście godzin.

Mogła się założyć, że dzisiejsza wizyta w biurze Trenta zapowiada następną porcję tego typu atrakcji. Obserwując, jak winda mija kolejne piętra, wspinając się płynnie ku królującemu na najwyższej kondygnacji gabinetowi szefa, wyrównała oddech i nakazała sobie spokój. Nie da przyrodniemu bratu satysfakcji, pozwalając, by wyprowadził ją z równowagi. Przeciwnie, udowodni mu, że potrafi poradzić sobie z każdym wyzwaniem, które jej rzuci. Nawet jeśli tym razem każe jej oddzielać ziarnka maku od piasku lub robić coś równie absurdalnego, okaże wyłącznie profesjonalne opanowanie. Nie ucieknie z podkulonym ogonem, nie zniknie z życia Hightowerów, spełniając w ten sposób marzenie Trenta i dwojga z trójki jego rodzeństwa.

W gruncie rzeczy, niespecjalnie się dziwiła Hightowerom. Dlaczego mieliby być do niej pozytywnie nastawieni? Stanowiła przecież żywy dowód cudzołóstwa popełnionego dwadzieścia sześć lat temu przez Jacqueline Hightower. Dzieciom Jacqueline nie mogło być miło, kiedy się dowiedziały, że ich matka przez lata wpłątana była w poza-

małżeński romans z pilotem z Daytony, a teraz, gdy jej kochanek nie żył, wpadła na pomysł, żeby wprowadzić do rodziny córkę z nieprawego łoża, o której istnieniu żadne z nich dotąd nie słyszało.

Cóż, antypatia była obustronna. Zdaniem Lauren Hightowerowie, może za wyjątkiem najmłodszej siostry Trenta, Nicole, byli cynicznymi bogaczami, tak bardzo zajętymi liczeniem pieniędzy, że nie stać ich było na zwyczajne, ludzkie odruchy. Gdyby tylko miała wybór, jeszcze w tej samej chwili zatrzymałaby windę, zjechała na parter i nie oglądając się za siebie, wróciła na ukochaną Florydę. Niestety, nie było to możliwe. Istniał bardzo ważny powód, dla którego musiała uczynić zadość życzeniu matki i ułożyć stosunki z nową rodziną tak poprawnie, jak to tylko możliwe. Tylko Jacqueline bowiem mogła wyjaśnić tajemnicę śmierci jej ojca. Czy samolot, który oblatywał, rozbił się przez przypadek, czy... ojciec popełnił samobójstwo? Jacqueline była ostatnią osobą, z którą rozmawiał tamtego fatalnego dnia, zanim usiadł za sterami samolotu i odbył swój ostatni, tragiczny lot. Jeśli planował desperacki krok, nie zdołałby ukryć tego przed kobietą, która była matką jego córki i miłością jego życia.

Praca w Hightower Aviation, rodzinnej firmie Hightowerów, stanowiła okazję, by wypytać matkę o ostatnie chwile spędzone z ojcem. Dlatego Lauren bez wahania ją przyjęła. Niestety, minęło już sześć tygodni, a Jacqueline wciąż wykręcała się od rozmowy z córką. Lauren nie pozostawało nic innego, jak starać się utrzymać na stanowisku, mimo że przyrodni brat rzucał jej kłody pod nogi, i wykorzystywać każdą okazję, by dowiedzieć się czegoś od matki. Śledztwo Komisji Bezpieczeństwa Transportu Lotniczego ciągnęło się w nieskończoność i Lauren zaczynała tracić cierpliwość. Nie wierzyła, by ojciec mógł się targnąć na własne życie, ale alternatywne wyjaśnienie nie było nawet odrobinę bardziej kojące. Ojciec zginął, oblatując samolot, przy którym wcześniej razem pracowali. Lauren osobiście dokonała kilku interesujących modyfikacji w mechanice silników. Jeśli wypadek był spowodowany awarią sprzętu, ponosiła odpowiedzialność za śmierć ojca.

Gorzki, nieznośny ból przeniknął ją obezwładniającą falą, jak zawsze, kiedy na nowo uświadamiała sobie, że straciła najbliższego człowieka. Człowieka, który samotnie ją wychował i nauczył robić to, co kochała ponad wszystko - latać.

- Dla ciebie, tato - wyszeptała, kiedy winda zatrzymała się na piętrze dyrekcji. - Dla ciebie, wujka Lou i Falcon Air.

Wepchnęła ochronne rękawice do kasku motocyklowego, głęboko nabrała powietrza, jak przed skokiem do lodowatej wody, i zdecydowanie ruszyła w stronę biurka osobistej sekretarki Trenta Hightowera. Grube podeszwy jej czarnych, skórzanych butów do kostek zapadały się w kremowym, puszystym dywanie, który zdobił marmurową podłogę holu. Lauren jak zwykle poczuła się nieswojo. Przepych, którym otaczali się Hightowrowie, stanowczo nie był w jej guście. Ona czuła się w swoim żywiole w pachnących benzyną i smarem, wybetonowanych hangarach, za sterami samolotu albo w siodle swojego harleya. Tutaj, w wymuskany wieżowcu ze szkła i marmuru, miała wrażenie, że się dusi.

Nie zamierzała jednak pokazać po sobie tremy - nie wobec kobiety-sfinksa, która strzegła wejścia do gabinetu Trenta. Powiedziała sobie twardo, że skoro potrafi bez lęku stawić czoło nawałnicy, siedząc za sterami samolotu, poradzi sobie również z przyrodnim bratem i jego sekretarką. Rozciągając usta w imponująco szerokim uśmiechu, spojrzała w pozbawione wyrazu oczy.

- Witaj, Becky. Szef chciał mnie widzieć. Mówił, że to pilne.

- Może pani wejść, panno Lynch - odezwała się sekretarka idealnie bezosobowym tonem. - Zawiadomię prezesa, że wreszcie się pani zjawiała - dodała, ostentacyjnie spoglądając na zegarek.

- Dziękuję. - Lauren uśmiechnęła się szerzej, choć w duchu klęła jak szewc.

Jeszcze parę tygodni treningu pod okiem Becky, a tak dobrze nauczy się ukrywać emocje, że będzie mogła podreperować swoją sytuację finansową, grając w pokera. Nie wdając się w dalsze dysputy, pchnęła ciężkie, mahoniowe drzwi prowadzące do „sali tronowej”.

Trent królował za ogromnym biurkiem, rozparty w fotelu wyłożonym czarną skórą. Gdy weszła, podniósł głowę i obdarzył ją spojrzeniem, w którym wyższość mieszała się z niechęcią.

- Próboweś się ze mną skontaktować? - rzuciła Lauren, rozpinając skórzaną kurtkę.

Pytanie było retoryczne. Odebrała wiadomość, kiedy była w trakcie rajdu motocyklem po okolicach Knoxville. Nie sądziła, by jej przyrodni brat był w stanie zrozumieć, jaką frajdę sprawiała jej szybka jazda mało uczęszczanymi drogami, wijącymi się wśród łagodnych wzgórz. Dla dziewczyny, która wychowała się w płaskiej jak naleśnik Daytonie, to był raj na ziemi.

Nie odpowiedział. Marszcząc brwi, zmierzył jej czarny, obcisły strój motocyklistki spojrzeniem, które wyrażało dezaprobatę dobitniej niż słowa. Lauren nie spuściła wzroku. Wyszczrzyła zęby w uśmiechu, który można było uznać za słodki i naiwny, jeśli się nie zauważyło bezczelnego błysku w jej oczach. Właśnie się miała rozsiąść w fotelu naprzeciwko Trenta, kiedy poczuła mrowienie na karku, jakby ktoś intensywnie się w nią wpatrywał.

Zaskoczona, obróciła się błyskawicznie i spojrzała prosto w skupione, ciemne oczy. Mężczyzna o pociągłej twarzy i gęstej czuprynie, tak czarnej jak pióra gawrona, podniósł się z fotela stojącego w głębi gabinetu. Niespiesznie przesunął wzrokiem po jej sylwetce. Niemal poczuła, jak zatrzymuje spojrzenie na jej niespecjalnie eleganckiej fryzurze - nie upięła włosów, kiedy zdjęła kask, więc teraz okrywały jej szczupłe ramiona lekko wzburzoną, ciemnozłotą kaskadą. Potem przyjrzał się jej krótkiej kurtce i obcisłym spodniom, które w żaden sposób nie maskowały figury. Lauren nie wątpiła, że podobnie jak Trent, ciemnowłosy nieznajomy przywykł do towarzystwa kobiet, które nosiły stroje od najsłynniejszych kreatorów mody, a nie skóry i ciężkie buty na wibramowych podszwach, ale nie dbała o to.

Uniosła wyżej głowę i odrzuciła włosy na plecy, odpowiadając nieznajomemu równie bezpośrednim, uważnym spojrzeniem. Elegancki, antracytowy garnitur leżał na nim lepiej niż na niejednym męskim modelu, i nic dziwnego, bo był fantastycznie zbudowany. Miał szerokie ramiona, wąskie biodra i mocne, długie nogi. Był ponadprzeciętnie wysoki. Zmarszczki w kącikach oczu zdradzały, że musiał zbliżyć się już do czterdziestki, a zdecydowanie zarysowana szczęka świadczyła o stanowczości i pewności siebie. Jeśli miał zostać jej nowym klientem, szła o zakład, że charakter miał równie paskudny, jak wszyscy biznesmeni, których dotąd obsługiwała.

- Lauren Lynch - przedstawiła się, robiąc krok w stronę nieznanego i wyciągając rękę. - Miło mi pana poznać, panie...

- Gage Faulkner. - Dłoń miał przyjemnie ciepłą, uścisk krzepki.

Lauren poczuła nagle, że brak jej tchu, zupełnie jakby nieznanomy ścisnął jej serce, a nie rękę. Zaskoczona, odruchowo chciała się cofnąć, ale on nie puścił jej dłoni. W jego ciemnych oczach nie było sympatii, kiedy spojrzał na Trenta ponad jej ramieniem.

- Mam wrażenie, że panna Lynch jest o wiele za młoda, by być zawodowym pilotem.

- Nie sądzisz chyba, że mógłbym ci zaproponować usługi pracownika, który nie posiada odpowiednich kwalifikacji - odparł Trent sztywno.

Lauren nie była przyzwyczajona do tego, by w jej obecności rozmawiano o niej tak, jakby była sprzętem nieposiadającym świadomości ani tym bardziej godności osobistej.

- Mam dwadzieścia pięć lat. - Gwałtownie skręcając nadgarstek, uwolniła dłoń z uścisku Faulknera, tak jak nauczył ją tego pewien ochroniarz pracujący dla Falcon Air. - I od dnia moich szesnastych urodzin posiadam licencję pilota. Mam za sobą sześć lat doświadczenia zawodowego. Jako pilot samolotów i śmigłowców czarterowych wylatałam ponad dziesięć tysięcy godzin.

Gage przeniósł na nią chłodne spojrzenie i uśmiechnął się lekko. Zauważyła, że miał piękne usta, jakby wyrzeźbione przez utalentowanego, romantycznego artystę. Usta, które cudownie byłoby całować...

To jest klient Hightower Aviation. Czerwone, ostrzegawcze światła rozbłysły w jej głowie, sygnalizując, że ten pas startowy jest zamknięty. Jakiegokolwiek relacje z klientem wykraczające poza sferę zawodową oznaczały natychmiastową utratę pracy. Czyżby Trent wpadł na genialny pomysł, by zastawić na nią pułapkę, jako przynęty używając klienta o zniewalającym uroku? Niewykluczone. Skoro dotąd jego knowania nie przyniosły pożądaných rezultatów, mógł się chwycić tak desperackiego sposobu. Siadając w fotelu, spojrzała spod rzęs na przyrodniego brata i omal nie zaczęła chichotać. Czy ten buc naprawdę sądzi, że nie będzie się umiała oprzeć męskim wdziękom? Jeśli tak, to się przełiczy. Lauren miała na kim ćwiczyć asertywność. Odkąd pamiętała, otaczał ją wianuszek

facetów. Nie była żadną miss piękności, nic z tych rzeczy, ale obracała się w środowisku, gdzie kobiety były jak rodziny w cieście. Małe lotniska roily się od młodych, wolnych i często bardzo energicznych mężczyzn. Lauren odebrała od życia kilka dobrych lekcji i nauczyła się stawiać granice w sposób niewzbudzający żadnych wątpliwości.

Trent posłał jej spojrzenie zdolne zamrozić gejzer w momencie erupcji.

- Gage, wybacz, proszę, nieodpowiedni strój Lauren. Zapewniam cię, że w Hightower Aviation mamy kodeks dotyczący stroju, który nasi pracownicy są obowiązani respektować.

- Kiedy ostatnio sprawdzałam, w kodeksie nie było wzmianki o obowiązku noszenia uniformu w dni wolne od pracy - rzuciła Lauren, zakładając nogę na nogę. - Przyjechałam natychmiast po otrzymaniu wezwania, choć dziś nie jestem w grafiku. Sądziłam, że bardziej zależy ci na oszczędności czasu klienta niż na pozorach. Teraz jednak sama nie wiem, czy jestem tu w sprawie pracy, czy na musztrze.

- Licz się ze słowami, Lauren - warknął Trent. - Jesteś tu, żeby poznać pana Faulknera. Będzie korzystał z usług naszej firmy. Obsłużysz jego loty.

I to wszystko? Skoro chodziło o normalne zlecenie, dlaczego miała poczucie, że przyrodni brat właśnie odbezpieczył granat, który za chwilę rzuci jej pod nogi?

- Dokąd polecę? - spytała, podejrzewając, że diabeł tkwi w szczegółach. - I czym?

Zaraz z pewnością usłyszy, że Faulkner planuje wysłać nieogrzewany samolot transportowy na Syberię lub małą awionetkę do nekanej burzy huraganami, pełnego żarłocznych moskitów kraiku, posiadającego lotnisko z jednym błotnistym pasem startowym.

- Pan Faulkner będzie charterował różne samoloty, w zależności od długości trasy i liczby osób towarzyszących. Będziesz latała głównie średniej wielkości odrzutowcami, czasem helikopterem albo cessną.

To brzmiało stanowczo zbyt pięknie. Hightower Aviation miała w hangarach kilka prawdziwych cacek, których dotąd nie wolno jej było nawet tknąć. Czyżby dziś był dzień dobroci dla przyrodniczych siostrzyczek?

- Przydzielam cię Gage'owi na cały czas trwania jego kontraktu z Hightower Aviation. Będziesz dyspozycyjna dwadzieścia cztery godziny na dobę, począwszy od jutra, piąta rano.

- Wycofujesz mnie z grafiku? - A więc tak wyglądała druga strona medalu.

Lauren przygryzła wargę, starając się opanować narastającą wściekłość. Wycofanie z grafiku było jak szlaban. Nie dość, że pilot musiał tkwić przy telefonie non stop, by się stawić na każde skinienie klienta, to jeszcze w rzeczywistości latał mniej niż w przypadku normalnej rotacji, a przez to i mniej zarabiał. Lauren nie zrobiła nic złego, a czuła się tak, jakby ją postawiono w kącie. W dodatku nie mogła protestować ani nawet zażądać wyjaśnień, bo rozmowa odbywała się w obecności klienta. Jej matka nigdy by nie pozwoliła...

Nie. Nie pobiegnie na skargę do mamusi. Nie miała zwyczaju chować się za czyjąś spódnicą. I z całą pewnością nie chciała zmuszać Jacqueline, by wybierała, czy ma się opowiedzieć po stronie syna, czy córki. Ta sprawa była między nią a Trentem. I Lauren nie zamierzała pozwolić mu wygrać.

Nie daj się wytrącić z równowagi. On tylko na to czeka, powiedziała sobie.

- Becky poda ci informacje dotyczące najbliższego lotu - uciał Trent, nie zadając sobie trudu, by odpowiedzieć na jej pytanie, po czym podniósł się z fotela i odprawił ją isticie królewskim skinieniem głowy.

Faulkner wstał również.

- Cieszę się, że będziemy współpracować, Lauren - powiedział z uprzejmym uśmiechem, ale jego oczy pozostały zimne i czujne.

Odpowiedziała mu podobnie chłodnym spojrzeniem.

- Ja także, panie Faulkner.

Obróciła się na pięcie i wyszła z gabinetu, stawiając zamaszyste kroki w swoich ciężkich buciorach, świadoma, że odprowadzają ją dwie pary niechętnych oczu. Dlaczego Trent życzył sobie, żeby to właśnie ona obsługiwała Faulknera, skoro najwyraźniej nastawił go do niej negatywnie? Dziwna, pokrętna logika.

Nie dotarła jeszcze do biurka kobiety-sfinksa, kiedy dogonił ją Trent.

- Gage jest moim bliskim przyjacielem - powiedział, kładąc rękę na jej ramieniu i ścisząc głos, tak by tylko ona go słyszała. - Nie schrań tego zlecenia, jeśli zależy ci na pracy.

Lauren znieruchomiała w pół kroku. Tak jak przeczuwała, Trent miał w zanadrzu granat i właśnie rzucił go jej pod nogi. A więc będzie latać z przyjacielem rodziny. Innymi słowy, ze szpiegiem. Sprytna zagrywka. Trent na pewno poprosi Faulknera, by śledził każdy krok Lauren i o wszystkim mu donosił. W ten sposób spodziewał się znaleźć pretekst, by ją zwolnić.

Kolejny wzruszający przejaw zaufania i braterskiej miłości. Czy Trent naprawdę ma ją za idiotkę, która da się przyłapać na błędzie? Była na to o wiele za dobra. Dopóki nie uzyska informacji, po którą tu przyjechała, będzie chodzić jak w zegarku. Nie pozwoli nawet, by jej czapka od munduru przekrzywiła się bardziej niż to dopuszczalne w regulaminie. Ale gdy tylko matka zdecyduje się w końcu zdradzić jej treść swojej ostatniej rozmowy z ojcem, powie przyrodniemu bratu kilka słów gorzkiej prawdy.

- Niczego nie schrzanię, braciszku. - Uśmiechnęła się i beztrąsko poklepała go po ręce, którą wciąż trzymał na jej ramieniu. - Będę latać tak ostrożnie, jakbym miała na pokładzie ładunek zgniłych jaj, a nie twojego kumpla.

Zauważyła, że Trent gniewnie zacisnął szczęki. Jeden zero dla przyrodniej siostrzyczki, pomyślała z uciechą. Ale walka się jeszcze nie skończyła.

Anioł czy diablica?

Gage odprowadził spojrzeniem Lauren Lynch, kiedy maszerowała do wyjścia z gabinetu. Ta dziewczyna była ucieleśnionym paradoksem. Miała ogromne, świetliste oczy w ciepłym odcieniu mocnego piwa, pełne, blad różowe wargi i drobną twarz o jasnozłotej cerze w obramowaniu gęstych, prostych włosów w kolorze ciemnego miodu. Można by ją uznać za słodką laleczkę, gdyby nie jej bystre spojrzenie, cięty język i czarny, skórzany strój o zadziornej linii, który w niezwykle interesujący sposób podkreślał dziewczęcą smukłość jej wysokiej sylwetki i bardzo ponętne, kobiece krągłości umiejscowione dokładnie tam, gdzie trzeba.

Potrząsnął głową, przywołując się do porządku. Wdzięki tej pilotki były ostatnią rzeczą, która powinna zaprzętać jego uwagę w tej chwili. Trent zaprosił go tu, mówiąc, że potrzebuje pomocy, a Gage wiele mu zawdzięczał. Jeśli nadarzała się okazja, by wy-

świadczyć przysługę przyjacielowi i spłacić honorowy dług, który zaciągnął przed laty, powinien maksymalnie ją wykorzystać.

- Twoja przyrodnia siostra nie wydaje się szczególnie uległym podwładnym - zaga-
ił, kiedy przyjaciel wrócił do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

- To prawdziwe półdiabły. - Trent uniósł ręce w geście bezradności. - Ale spryciara
świetnie wie, jak grać, żeby nie przeciągnąć struny. Nie mam pojęcia, jak to zrobiła, ale
udało jej się owinać mamę wokół palca, a ta uparła się, żebyśmy ją zatrudnili jako pilota.

- Jesteś pewien, że Lauren manipuluje waszą matką? - Gage zmarszczył brwi. -
Jacqueline zawsze sprawiała na mnie wrażenie osoby, która nie daje sobie dmuchać w
kaszę. W końcu to ona utrzymała

Hightower Aviation na powierzchni, kiedy jej ojciec zmarł, a mąż... trochę za bar-
dzo rozsmakował się w hazardzie.

- Niestety, wszystko wskazuje na to, że tym razem trafiła na kogoś, komu udało się
zmanipulować ją i wykorzystać do własnych celów. Posłuchaj tylko jakieś półtora roku
temu mama znikła z radaru na pewien czas. Od tamtej pory zaczęła regularnie podej-
mować duże sumy pieniędzy, po kilkadziesiąt tysięcy dolarów za każdym razem. Poszpe-
rałem trochę i dowiedziałem się, że pojechała wtedy do Daytony. Ostatnio bywa tam co
parę miesięcy.

- Jacqueline podejmuje firmowe pieniądze? - Niepokój spowodował, że Gage pod-
niósł się z fotela.

Nikt nie wiedział lepiej od niego, co się dzieje, gdy jeden z decydentów w rodzin-
nym biznesie wbije sobie do głowy, że może rozporządzać kapitałem firmy według wła-
snego widzimisię. Jego ojciec postąpił dokładnie tak samo, dał się oszukać zawodowym
naciągaczom i stracił wszystko, do ostatniego grosza. Gage miał wtedy tylko dziesięć lat,
ale dobrze pamiętał długie miesiące, które przemieszkał z rodzicami w zdezelowanej
półciężarówce, żywiąc się w schroniskach dla bezdomnych i ubierając na kiermaszach
Armii Zbawienia.

- Nie, na razie przepuszcza swój prywatny majątek. - Trent stanął obok niego. - Ale
jej księgowy zaniepokoił się na tyle, by dyskretnie dać mi cynk. Jeśli ktoś robi z mamy

swoją dojną krowę, a ona z upływem lat staje się naiwna, trzeba usunąć ją z zarządu Hightower Aviation, zanim doprowadzi do katastrofy.

- Będziesz potrzebował czegoś więcej niż mglistych podejrzeń, żeby pozbawić ją stanowiska.

- Wiem. Dodałem dwa do dwóch i zauważyłem interesującą prawidłowość. Mama zaczęła szastać pieniędzmi po wizycie w Daytonie, a tak się przypadkiem składa, że nasza droga Lauren pochodzi z tego uroczego miasteczka. Potem mama zaczęła regularnie tam jeździć, a po jakimś czasie jej zbłąkana córeczka zawitała w Knoxville. Niestety, sprawa wydaje się prosta: Lauren odkryła, że jej rodzicielka jest nadziana, i zdecydowała się wzbudzić w niej macierzyńskie uczucia, a potem urządzać się wygodnie za jej pieniądze.

Gage wbił ręce w kieszenie i podszedł do wielkiego okna, za którym rozpościerał się widok na miasto.

- Lauren nie pasuje mi na naciągaczkę - powiedział z namysłem.

- Nie daj się nabrać tym jej wielkim, niewinnym oczom. Gdybym nie miał poważnych powodów, by podejrzewać, że ostrzy sobie zębki na majątek Hightowerów, nie prosiłbym cię o pomoc.

- Próbowalesz po prostu spytać Jacqueline, na co wydaje pieniądze?

- Oczywiście. Skutek był taki, że nabrała wody w usta. Jeśli chodzi o sekrety, mama jest jak Fort Knox. Nic z niej nie wyciągniesz. Najwyraźniej w tej sprawie ma coś do ukrycia przed rodziną.

- A co z Lauren? Pytałeś ją, dlaczego zdecydowała się przenieść do Knoxville?

- Pytałem. - Trent wykrzywił usta, jakby właśnie przełknął coś wyjątkowo paskudnego. - Opowiedziała mi bajeczkę o tym, jak to jej ojciec życzył sobie żeby poznała przyrodnie rodzeństwo. Spełnia podobno życzenie taty. Twierdzi, że od matki nie wzięła ani centa.

- Nie sądzisz, że to może być prawda? Jeśli Jacqueline miała ochotę odgrywać rolę hojnej matczki, dlaczego nie zaczęła wcześniej pompować pieniędzy w Lauren?

- Skąd wiesz, że tego nie robiła? O ile miała wcześniej kontakt z córką, mogła jej od czasu do czasu dawać kieszonkowe. Jeśli to były mniejsze sumy, nikt się nie zorientuje.

tował. Mnie jednak niepokoi to, że ani ja, ani żadne z rodzeństwa nie słyszało o błędzie młodości naszej matki, dopóki ów błąd nie pojawił się na progu Hightower Aviation z referencjami, jakich nie powstydziliby się pilot Air Force. One, i z przeświadczeniem, że wszyscy tylko czekamy, żeby zaoferować jej pracę marzeń. Cóż, proces rekrutacji w naszej firmie wygląda zazwyczaj nieco inaczej.

- Lauren nie spełnia wymagań stawianych pilotom przez Hightower Aviation?

- Spełnia śpiewająco. - Grymas na twarzy Trenta pogłębił się. - Jediną plamą na jej życiorysie jest fakt, że nie skończyła studiów. CV, które nam przedstawiła, jest moim skromnym zdaniem o wiele zbyt piękne by mogło być prawdziwe. Nie jestem jednak w stanie udowodnić jej kłamstwa. Falcon Air, firma założona przez jej ojca, potwierdza wszystko, co dziewczyna wymyśli. - Przerwał i potrząsnął głową, zaciskając usta w wąską linię. - Znasz mnie i wiesz, że nie jestem specjalnie łatwowierny - podjął po chwili, ruszając na niespokojny spacer do drzwi gabinetu i z powrotem. - Więc zanim posadziłem pannę Lynch za sterami jednego z moich samolotów, przemaglowałem ją naprawdę gruntownie. Poddałem ją zupełnie nieludzkiej baterii testów. Sprawdziłem jej wiedzę techniczną i nawigacyjną, orientację przestrzenną, inteligencję, zdolność logicznego myślenia, szybkość reakcji, sprawność i wytrzymałość fizyczną. Przecwiczyłem ją jak rekruta Legii Cudzoziemskiej. Na koniec zorganizowałem jej szesnastogodzinną sesję z symulatorem lotów. Szczerze mówiąc, liczyłem na to, że mała albo zrejteruje, albo umoczy. Tymczasem ta diablica rozwaliła wszystkie testy niemal bezbłędnie, a na sali treningowej osiągnęła takie wyniki, że zacząłem się zastanawiać, czy nie jest androidem.

Gage uśmiechnął się, słysząc uznanie w głosie przyjaciela. Trent mógł robić srogie miny, ale nie byłby sobą, gdyby nie docenił dobrego pilota.

- Skoro tak, dlaczego sądzisz, że to podstępna kłamczucha? Może po prostu jest dobrym pilotem? - podsunął.

- Nikt nie jest tak dobry w wieku dwudziestu pięciu lat - uciął Trent. - To po prostu niemożliwe.

- Ty byłeś.

Trent spędził wiele lat, starając się zapomnieć o lataniu. Myślał, że rana już się zabiżniła, i ani drgnął, kiedy na wzmiankę o utraconej przeszłości przeniknął go palący

ból, jakby go dźgnięto w samo serce rozżarzoną do czerwoności żelazną. Gage zobaczył, jak przyjaciel kuli ramiona i w duchu posłał się do wszystkich diabłów. Wiedział przecież, że Trent praktycznie wychował się w kokpicie. Zanim jeszcze porządnie nauczył się chodzić, już latał, siedząc na kolanach zaprzyjaźnionych pilotów. Jako nastolatek miał tylko jedno marzenie: zaciągnąć się do Sił Powietrznych. I właśnie w chwili, gdy z dyplomem ukończenia studiów w ręku miał rozpocząć przygodę życia, byt jego rodziny zawisł na włosku. Ojciec przez lata ukrywał uzależnienie od hazardu, ale kiedy zupełnie się splukał, sięgnął po finanse firmy i narobił długów. Trent musiał się pożegnać z marzeniami o karierze wojskowej i zabrać się za sprzątanie bałaganu, którego narobił tata. Kiedy wreszcie z pomocą matki, udało mu się wyprowadzić Hightower Aviation na prostą, firma była jego całym życiem. Nie wyobrażał sobie odejścia.

- Wybacz, stary. Nie powinienem był tego mówić.

- Daj spokój, to stare dzieje. - Trent zmusił się, by zignorować ból. - Wracając do rzeczy, fakty są takie, że mama urodziła Lauren w tajemnicy, dziecko zostało adoptowane przez biologicznego ojca. Jacqueline wolała opuścić córkę, niż przyznać się mężowi, że zaliczyła wpadkę z kochankiem. Nic dziwnego, że ma teraz poczucie winy wobec małej, a ta spryciara dobrze wie, jak to wykorzystać.

Gage znał przyjaciela zbyt dobrze, by lekceważyć jego niepokój, ale w całej tej sytuacji coś mu się nie zgadzało.

- Lauren nie zrobiła na mnie wrażenia uzależnionej od luksusu pannicy. Nie pacykuje się i nie obwiesza błyskotkami. Na moje oko to nie jest typ, który sępi prezenty od bogatej mamuski.

Trent zatrzymał się przed Gage'em i posłał mu zimne spojrzenie.

- Lauren jeździ motocyklem za dwadzieścia tysięcy dolarów i wozem wartym trzy razy tyle, a w hangarze ma własny samolot, cacko, które wyceniłbym na jakieś ćwierć miliona - wycedził. - Jak sądzisz, o czym to świadczy?

Gage zacisnął szczęki.

- To świadczy o tym, że nie tylko ja dałem się nabrać na jej wielkie, niewinne oczy - wycedził. - Trzeba przyznać, że ta mała pijawka nieźle się maskuje. A teraz powiedz mi wreszcie, co to wszystko ma wspólnego ze mną.

- Potrzebuję kogoś, kto by utrzymał Lauren z dala od matki, dopóki nie uda mi się zatamować wycieku pieniędzy - powiedział Trent cicho.

- Od naszej rozmowy przez telefon cały czas zachodzę w głowę, co miałeś na myśli, mówiąc, że wyświadczę ci przysługę, jeśli w najbliższym czasie będę korzystać z usług Hightower Aviation. Teraz zaczynam rozumieć. Ale nie ma mowy, żebym latał za darmo, jak proponowałeś.

- Ależ będziesz latał za darmo. Nigdy się nie zgodzę, żebyś pomagał mi rozwiązać rodzinny kryzys i jeszcze za to płacił.

- Trent, dobrze wiesz, że stać mnie na wyczarterowanie samolotu. I to dzięki tobie. Zapomniałeś już, że w czasie, kiedy nie miałem grosza przy duszy, pomogłeś mi stanąć na nogi? Ja nie zapomniałem. Dziś Faulkner Consulting praktycznie nie ma konkurencji na rynku, a wielomilionowe inwestycje przynoszą mi regularne i całkiem przyzwoite zyski, ale do niczego bym nie doszedł, gdyby nie to, że ty i Jacqueline zdecydowaliście się mi pomóc, kiedy tego potrzebowałem. Teraz moja kolej. To ja się nie zgadzam, żebyś poniósł straty. W najbliższym czasie planuję naprawdę sporo podróży. Możesz być pewien, że Lauren nie będzie miała czasu widywać i urabiać Jacqueline, ale nie ma mowy, żebyś to ty finansował moje loty.

- Posłuchaj, uparciuchu, jeśli przez najbliższe miesiące utrzymasz naszą małą piawkę z dala od mamy, to z mojego punktu widzenia korzyści znacznie przewyższą poniesione koszty, nawet jeśli byś latał rakieta. Kto wie, czy Jacqueline nie zamierza sięgnąć do kont firmy jak kiedyś ojciec? Nie wezmę od ciebie ani grosza.

Gage zacisnął mocno szczęki. Czasy, kiedy przyjmował jałmużnę, dawno się skończyły.

- Trent, nie mogę...

- Stary, naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Chcesz, żebym cię błagał?

- Nie. Ale zrobimy to po mojemu. Spisz krótkoterminowy kontrakt. Jeśli obaj uznamy, że ten układ się sprawdza, ustalisz cenę, biorąc pod uwagę moją godność i własne skrupulanctwo. A jeśli z jakiegoś powodu pomysł nie wypali, przynajmniej nie wpędzę cię w koszty.

Trent stanął na szeroko rozstawionych nogach i spojrzał na przyjaciela spode łba, jakby zamierzał rozwiązać konflikt za pomocą paru rund bokserskiego sparringu. Gage nie mógł się nie uśmiechnąć na wspomnienie starych, dobrych czasów, kiedy mieszkali razem w akademiku.

- Nie wkurzaj mnie. - Trent zacisnął dłonie w pięści, a potem z widocznym wysiłkiem rozluźnił palce. - Nie potrzebuję...

- Ale ja potrzebuję. - Gage posłał przyjacielowi stanowcze spojrzenie.

- Dobra, w porządku - poddał się tamten. - Jak chcesz. Jeśli uda ci się przy okazji wyciągnąć z Lauren, jakie ma plany, będę naprawdę wdzięczny.

Gage zmrużył oczy. Istniały granice, których nie był gotów przekroczyć, nawet jeśli chodziło o przysługę dla najlepszego przyjaciela.

- Mogę mieć oko na Lauren - powiedział ostrożnie - ale nie będę jej szpiegował, Trent.

- Przecież cię nie proszę, żebyś ją uwiódł i zawlókł do łóżka w celu wyciągnięcia informacji! Spędzicie razem sporo czasu. Może powie coś, z czego uda ci się wywnioskować, jak długo jeszcze zamierza zaszczycać nas swoim towarzystwem.

- Mogę ci obiecać, że przyjrzę się Lauren. Jeśli naprawdę jest zimną suką, za jaką ją uważasz, zdobędę informacje, które pozwolą ci zabezpieczyć rodzinę przed jej zakusami. Ale o więcej mnie nie proś.

- Wspaniale. - Trent wyciągnął dłoń do przyjaciela. - Umowa stoi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Lauren podniosła oczy znad ekranu nawigacyjnego, zmarszczyła brwi i rzuciła groźne spojrzenie Gage'owi, który przeciskał się właśnie przez niskie drzwi prowadzące z kabiny pasażerskiej do kokpitu. Po co się tu pakuje, zamiast spokojnie drzemać w wygodnym, rozkładanym fotelu? Nie potrzebowała towarzystwa, a już na pewno nie życzyła sobie, by jej przeszkadzano w chwili, gdy wprowadzała parametry lotu do komputera pokładowego.

- Panie Faulkner, niedługo startujemy - powiedziała sucho. - Prosiłabym, żeby zajął pan miejsce w kabinie i zapiął pas.

- Mów mi Gage. - Srogi ton, za pomocą którego potrafiła usadzić nawet najbardziej rozhukanych klientów, urządzających suto zakrapiane imprezy na pokładzie wynajętego samolotu, nie zrobił żadnego wrażenia na Faulknerze. - Lubię siedzieć z przodu. Skoro lecimy bez drugiego pilota, pomyślałem, że zajmę jego miejsce - oświadczył, siadając w fotelu po jej prawej stronie i wyciągając przed siebie długie nogi.

- Wolałabym, żeby w czasie lotu przebywał pan w kabinie pasażerskiej. - Wbiła wzrok z powrotem w ekran. Nie mogła dopuścić do tego, żeby kaprysy klienta wytrąciły ją z równowagi. W pracy pilota chwila dekoncentracji mogła mieć tragiczne następstwa. Bolesna ironia chciała, że tę regułę wpoił jej ojciec.

Gage musiał chyba tego dnia mieć kłopoty ze słuchem, bo w ogóle nie zareagował na tę wyraźną sugestię. Niespiesznie zapiął pas bezpieczeństwa, a dźwięk zatrzasnącej się klamry rozległ się w uszach Lauren głośno niczym wystrzał.

- Masz coś do ukrycia? A może się boisz, że zauważę, jak traktujesz po łebkach przygotowania do startu? - rzucił swobodnie.

Lauren gwałtownie zacisnęła zęby.

- Kiedy siedzę za sterami, niczego nie traktuję po łebkach.

- Dobrze wiedzieć - ucieszył się. - Masz tu gdzieś zapasowy zestaw słuchawek?

Policzyła w myślach do pięciu, oddychając głęboko i powoli. Odezwała się dopiero, gdy była pewna, że jej głos nie będzie drżał ze złości.

- Panie Faulkner... Gage, naprawdę zachęcam cię, żebyś wrócił do kabiny pasażerskiej. Są tam o wiele wygodniejsze fotele, hałas nie przeszkadza pracować lub wypoczywać, a jeśli chodzi o widok, kabina ma sześć całkiem sporych okien, z których podczas dzisiejszego lotu będzie widać dokładnie to samo, co stąd, czyli chmury. Niebo jest zasłane.

- Dzięki za troskę - Gage poprawił się w fotelu - ale jest mi tu całkiem wygodnie, nie jestem zmęczony i nie mam nic pilnego do zrobienia. Uważam, że praca pilota jest fascynująca. Kiedy tylko mam okazję, wpraszam się do kokpitu, żeby obserwować.

Lauren posłała mu nieufne spojrzenie. Może by i uwierzyła w tę bajeczkę, gdyby nie fakt, że Gage był szpiegiem Trenta. Jej słodki przyrodni braciszek z pewnością kazał mu śledzić każdy jej ruch i składać szczegółowe raporty.

- Regulamin Hightower Aviation nie dopuszcza, by pasażerowie przebywali w kokpicie podczas lotu - powiedziała sztywno.

- Zadzwoń do brata i spytaj, czy nie mogłabyś zrobić dla mnie wyjątku.

- Po pierwsze, to jest mój brat przyrodni, a po drugie, nie mogę do niego zadzwonić, bo od samego rana jest na zebraniu zarządu.

- Skoro tak, to jesteś skazana na moje towarzystwo. - Gage błysnął białymi zębami w uśmiechu, który był trochę zbyt drapieżny jak na to, by świadczyć o dobrych intencjach.

Lauren westchnęła z rezygnacją. Nie miała czasu na użeranie się z klientem. Jeśli nie wystartują punktualnie, odpowiedzialność za spowodowanie opóźnienia spadnie na nią, a taki wpis wyglądał naprawdę paskudnie w świadectwie pracy pilota. Z pewnością kosztowałyby ją to utratę stanowiska, a może i oszczędności, w wypadku gdyby bezczelny klient wystąpił o odszkodowanie. Musi znieść towarzystwo Faulknera w kokpicie, trudno. Postanowiła, że będzie po prostu robić swoje, nie zwracając na niego uwagi.

- Zestaw słuchawek masz pod siedzeniem - odezwała się, nie patrząc na niego. - Kiedy je włożysz, będziemy mogli swobodnie rozmawiać. Przynajmniej w teorii, bo w praktyce rozmawiać nie będziemy. Aż do chwili, kiedy skończę kontaktować się z wieżą i wyprowadzę samolot na docelową wysokość, nie wolno ci się odzywać. Nie jestem tu po to, żeby uprzyjemniać ci czas opowiadaniem ploteczek.

Jeśli myślała, że Gage poczuje się urażony jej brakiem uprzejmości i wróci na swoje miejsce w kabinie, przeliczyła się. Usłyszała jego cichy śmiech, tak spontaniczny i ciepły, że omal nie uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Tak jest, generale - wyskandował, po czym opadł na oparcie fotela i pograżył się w milczeniu.

Lauren włożyła słuchawki na uszy i sprawdziła działanie mikrofonu, wbiła wzrok w skomplikowane przyrządy na konsoli i świat przestał dla niej istnieć. Skończyła wprowadzać parametry lotu do komputera pokładowego, poprosiła wieżę o pozwolenie na start, a gdy je otrzymała, poprowadziła cessnę na pas startowy, manewrując samolotem z taką łatwością, jakby to była zabawka. Kiedy rozpędziła maszynę i pewnym, precyzyjnym ruchem poderwała ją w powietrze, Gage zobaczył w jej oczach błysk euforii. Pochyliła się lekko nad sterami i rozchyliła usta, skupiona, prowadząc samolot płynnymi, niemal czułymi ruchami dłoni, jak kobieta pieszcząca kochankę. Wpatrywała się roziskrzonym wzrokiem w niebo przed nimi, kiedy wznosili się, kołując, a na jej ustach błąkał się bezwiedny uśmiech czystego zachwyty.

Gage nie mógł oderwać spojrzenia od Lauren Lynch. Jej entuzjazm był niekłamanym, jej koncentracja na zadaniu - stuprocentowa, a biegłość w posługiwaniu się sterami robiła wrażenie. Nawet jeśli ta dziewczyna była bezduszną pijawką, znała się na swojej robocie. A oglądanie jej przy pracy stanowiło prawdziwą ucztę dla męskich oczu. Gage rozsiadł się wygodniej, rozprostował nogi i oddał się kontemplacji.

Podrywanie samolotu w niebo zawsze było dla Lauren mocnym przeżyciem. Tym razem jednak nie mogła cieszyć się tą chwilą tak swobodnie jak zazwyczaj. Ze złością odnotowała fakt, że jej serce szybko, głucho tłucze się w piersi, a dłonie są wilgotne od potu. Choć wpatrywała się w przyrządy i ogromniejący w oczach, przechylony to w jedną, to w drugą stronę łuk horyzontu, wyraźnie czuła utkwione w sobie spojrzenie czujnych, ciemnych oczu mężczyzny siedzącego o wiele bliżej niej, niżby sobie życzyła. W samolocie zawsze czuła się pewnie, koncentracja przychodziła jej naturalnie, jej ciało i dusza zlewały się w jedno z maszyną. Lauren była mózgiem samolotu, a jego moc była jej siłą. O lataniu wiedziała wszystko, ale kiedy siedziała za sterami, pozwalała, by kierował nią instynkt.

Dziś jednak było to niemożliwe. Wzrok Gage'a krepował ją jak łańcuch, nie pozwalał rozwinąć skrzydeł. Walcząc o spokój, skupiona na przyrządach, wykonywała każdy ruch dokładnie tak, jak uczyły podręczniki. Gardło miała zaciśnięte, a w ustach zupełnie sucho. Najgorsze było to, że pod jego spojrzeniem nie czuła się jak pilot, tylko jak... kobieta. Nagle zaczął jej przeszkadzać fakt, że włosy ma ściągnięte w prozaiczny koński ogon, jasne rzęsy nietknięte mascarą, a usta blade, pociągnięte jedynie bezbarwnym błyszczkiem. Z frustracji przygryzła wargę. Nigdy dotąd nie histeryzowała z powodu braku makijażu. Naprawdę nie chciała, żeby to się zmieniło.

- Teraz możesz mówić - odezwała się, kiedy zakończyła wznoszenie i skierowała samolot na właściwy kurs. - Jeśli musisz. Pamiętaj, żeby nie krzyczeć, jeśli nie chcesz mnie ogłuszyć. Słuchawki, które mamy, są idealnie dostrojone i bardzo dobrze przewodzą dźwięki.

Gage nie dał się długo prosić.

- Dlaczego zostałam pilotem? - wypalił, gdy tylko otrzymał pozwolenie na zabranie głosu.

Nie raz już słyszała to pytanie.

- Właściwie wychowałam się na lotnisku. - Wzruszyła ramionami. - Nigdy nie chciałam robić niczego innego.

- Dużo latałaś, zanim zaczęłaś pracować w Hightower Aviation?

Lauren zacisnęła dłonie na sterach. Trent musiał nie tylko kazać Faulknerowi ją śledzić, ale też wziąć w krzyżowy ogień pytań. Dopóki indagacja dotyczyła kariery zawodowej, nie przeszkadzało jej to. Nie miała nic do ukrycia.

- Sporo latałam. - Uśmiechnęła się. - Od paru lat jestem instruktorem lotnictwa i pilotuję samoloty czarterowe dla Falcon Air.

- Falcon Air? Co to za firma?

- Lotnicza firma przewozowa założona przez mojego ojca.

- Tata nie ma ci za złe, że zostawiłaś go samego na gospodarstwie i przeniosłaś się do konkurencji?

Przeszył ją bezlitosny ból, jakby dostała nożem pod żebro. Odruchowo skuliła ramiona.

- Mój ojciec... nie żyje - powiedziała z trudem. - Zmarł pół roku temu. Teraz firmą kieruje stryj.

- Przykro mi z powodu twojej straty.

Lauren zamknęła oczy, starając się powstrzymać łzy. Czy Faulkner naprawdę sądził, że ta wyświechtana formułka, wygłoszona bezosobowym tonem, może przynieść jej ulgę?

- Na czym dokładnie polega twoja praca, Gage? - spytała szybko, siląc się na lekki ton.

Zawodowe sukcesy Faulknera interesowały ją średnio, ale nie chciała dłużej rozmawiać o swoich rodzinnych sprawach. Gdyby powiedziała za dużo, gdyby dopuściła do tego, by wyszło na jaw podejrzenie, że ojciec mógł popełnić samobójstwo, Falcon Air byłaby skończona. Nikt o zdrowych zmysłach nie zdecydowałby się wsiąść na pokład samolotu, którego pilot, idąc za przykładem właściciela firmy, mógłby zakończyć lot, pikując w sam środek moczarów Everglades.

- Jestem doradcą biznesowym. Kiedy jakieś przedsiębiorstwo popada w kłopoty, zarząd zwraca się do mnie o pomoc, a ja im dobrze radzę, żeby poradzili sobie sami - błysnął dowcipem Gage. - Więc kiedy twój ojciec umarł, postanowiłaś odszukać biologiczną matkę?

Lauren milczała przez chwilę, patrząc wprost przed siebie i usiłując stłumić frustrację. Wyraźnie dała mu do zrozumienia, że nie chce rozwijać tego tematu, on jednak ostentacyjnie do niego wrócił.

- Nie, to matka pojawiła się u mnie - powiedziała niechętnie.

- To musiało być duże przeżycie, spotkać matkę po raz pierwszy w dorosłym wieku.

- Po raz pierwszy? - parsknęła. - Nie wiem, co Trent ci naopowiadał, ale prawda jest taka, że znałam Jacqui od dziecka. Nie miałam pojęcia, kim jest tajemnicza dama, na której punkcie szalał mój tata, choć widywał ją zaledwie parę dni w roku. Pojawiała się u nas bez zapowiedzi i na jej widok tata zapominał o bożym świecie. A potem znikwała na długie miesiące. Przyjechała kolejny raz w dniu moich osiemnastych urodzin i wtedy rodzice zdecydowali się wyznać mi prawdę. O tym, że moja matka jest mężatką i ma ro-

dzinę w Knoxville, dowiedziałam się dopiero po pogrzebie ojca. Powiedziała mi, że tata życzył sobie, żebym poznała moje przyrodnie rodzeństwo.

Gage milczał chwilę, zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

- Znałaś Jacqueline od dawna? - upewnił się, spoglądając na Lauren spod zmrużonych powiek.

- Znałam - przytaknęła.

- Jaką była matką? - indagował. - Na pewno bardzo hojną?

Lauren przewróciła oczami. Kolejna osoba uznała, że ma prawo podejrzewać ją o pazerność i wyrachowanie, przypierać do muru i zmuszać, żeby udowadniała, że jest niewinna. W dodatku była pewna, że jeśli powie prawdę, Faulkner i tak jej nie uwierzy.

- Powiedziałaś ci przed chwilą, że Jacqui w ogóle nie była dla mnie matką - odparła z rezygnacją. - Jeśli sobie wyobrażasz, że obsypywała mnie drogimi prezentami, to się mylisz. Mój ojciec nie pozwoliłby na to. A ja nie zgodziłabym się ich przyjąć.

Raczej ze smutkiem niż ze złością odnotowała wyraz niedowierzania na jego twarzy. Czego się mogła spodziewać? Jasne, że Faulkner miał o niej jak najgorsze zdanie, Trent już o to zadbał. To przykre, że przyrodni brat rozgłaszał nieprawdziwe plotki na jej temat nie tylko wśród pracowników Hightower Aviation, ale nawet wśród klientów.

- To Jacqueline namówiła cię, żebyś przyjechała do Knoxville i podjęła pracę w Hightower Aviation? - padło następne pytanie.

- Tak, ale Jacqui świetnie wie, że mój pobyt tutaj nie potrwa dłużej niż parę miesięcy. Muszę wrócić do Falcon Air. - Zapatrzyła się na majestatyczne, przestrzenne formacje obłoków i wprowadziła samolot pomiędzy dwa wypiętrzone słupy cumulusów.

- Co ci da te parę miesięcy? - spytał szybko Gage.

- A co ci da zabawa ze mną w dwadzieścia pytań? - odcięła się.

- Nic, po prostu jestem ciekawy - odparł obronnie. - Większość ludzi, jeśli miałyby szansę zbliżyć się do rodziny Hightowerów i móc korzystać z otaczającego ich dobrobytu i luksusu, nie odeszłaby ot, tak sobie, po paru miesiącach.

- Widocznie nie jestem taka jak większość ludzi, panie Faulkner - powiedziała Lauren zimno, nie patrząc na niego. - Nie jestem też jedną z Hightowerów. Jeśli mamy pracować razem, lepiej by było, gdyby pan się z tym pogodził i przestał drażnić. Zgaduję, że

to Trent postawił pana w krępującej sytuacji, skłaniając, by poddał mnie pan przesłuchaniu. Proszę mu przekazać, że jeśli chce zadać mi jakieś pytania, może to zrobić osobiście.

Gage intuicyjnie wyczuwał, że Lauren coś ukrywa. A intuicja nie myliła go nigdy.

Przed siedmioma godzinami idealnie gładko wylądowali w Baton Rouge, i Lauren uprzejmie życzyła mu powodzenia w pracy, wyraźnie nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie sobie pójdzie i zostawi ją samą. Gage poczuł się dziwnie. Był przyzwyczajony do tego, że kobiety narzucały mu się, otwarcie okazując adorację. Nie przywiązywał do tego wagi, bo był świadom, że większość z nich adoruje głównie jego kartę kredytową, ale tak czy owak, obojętność i niechęć ze strony dziewczyny była zupełnie nowym i niezbyt miłym doświadczeniem.

Lauren Lynch stanowiła intrygującą zagadkę. Gage zrozumiał, że chce ją lepiej poznać. Oczywiście po to, by wybawić swojego przyjaciela z ewentualnego kłopotu...

Natychmiast po skończonym spotkaniu wrócił na lotnisko. Cessna stała przed hangarem, lśniąc biała w złotym blasku ciepłego, jesiennego popołudnia. Gage ruszył szybkim krokiem w stronę samolotu. Trap był opuszczony, a drzwi do kabiny szeroko otwarte. Lauren musiała być w środku, a on nagle poczuł, że nie może się doczekać, kiedy znów ją zobaczy.

Gdy wszedł na pokład, lekka cessna zakołysała się pod jego ciężarem. Lauren, siedząca po turecku w jednym z przepastnych pasażerskich foteli, drgnęła gwałtownie i szybkim ruchem zamknęła laptop. Gage oparł się o zaokrąglone obramowanie drzwi i patrzył, jak dziewczyna spuszcza zgrabne nogi na podłogę, po omacku szukając bosymi stopami czółenek na niskim obcasie, pasujących do wąskiej, granatowej spódnicy munduru pilotki. Jednocześnie jej drobne dłonie o smukłych palcach pofrunęły ku rozchyłonej pod szyją białej koszuli i błyskawicznie zapięły dwa najwyższe guziki, ukrywając gładką, złocistą skórę i miękki zarys krągłych piersi.

- Och, już jesteś. - Posłała mu spłoszone spojrzenie, zrywając się na równe nogi. - Nie spodziewałam się ciebie tak wcześniej.

- Latanie wycarterowanym samolotem ma tę dobrą stronę, że nie traci się czasu na formalności w hali odlotów - uśmiechnął się Gage. - Zaoszczędziłem w ten sposób ponad

godzinę. Przeszkodziłem ci w czymś? - Popatrzył na rozłożony blat, gdzie przed chwilą odstawiła laptop.

- Nie... - Potrząsnęła głową. - Nie robiłam niczego ważnego.

Rozpuszczone włosy zatańczyły wokół jej ramion, zaśniły w promieniach zachodzącego słońca ciemnozłotą, miodową barwą. Gage wpatrywał się w jej jasną twarz i uroczy rumieniec na policzkach...

Dlaczego się rumieniła? Dlaczego oddychała szybko i przypatrywała mu się czujnie, niczym schwyte w potrzask zwierzątko? Czyżby coś ukrywała?

- Jacqui prosiła, żebym przekazała ci pozdrowienia. - Unikając wzroku Gage'a, Lauren włożyła laptop do skórzanej torby i zamknęła ją w schowku na bagaż.

- Kontaktowałaś się z Jacqueline przez internet? - W głowie Gage'a rozdzwonił się alarm. On i Trent popełnili strategiczny błąd, zakładając, że wystarczy trzymać Lauren z dala od Knoxville, żeby zażegnać niebezpieczeństwo wycieku pieniędzy. Nie pomyśleli, że panna Lynch znajdzie inny sposób, by wywierać naciski na matkę. Jeśli chciał pomóc przyjacielowi, musiał opracować nowy plan działania.

- Tak. - Lauren skrzywiła się lekko. - Spędziłam dobrą godzinę, rozmawiając z nią przez komunikator.

- Jacqueline potrafi obsługiwać komputer?

- Bez najmniejszego problemu. Od paru lat jest zakochana w elektronicznych gadżetach.

Gage patrzył, jak Lauren zdecydowanym ruchem odrzuca włosy na plecy, zbiera je z tyłu głowy i spina gumką, a potem wciska na głowę czapkę od munduru. Jeszcze tylko sięgnęła po wiszącą na oparciu fotela marynarkę, przybrała skupiony wyraz twarzy i ruszyła do kokpitu, gotowa do pracy. W milczeniu zajął sąsiedni fotel, popatrując na nią spode łba, kiedy przygotowywała cessenę do lotu, sprawdzając oprzyrządowanie szybkimi, precyzyjnymi ruchami.

- Wieża daje nam pozwolenie na start dopiero za czterdzieści minut. - Lauren zdjęła słuchawki i opadła na oparcie fotela.

- Nic nie szkodzi - pospieszył z zapewnieniem Gage, który właśnie wpadł na pomysł, jak zmodyfikować strategię postępowania wobec Lauren. - Nie spieszy nam się

chyba aż tak bardzo. Co ty na to, żebyśmy skorzystali z pięknej pogody i zjedli obiad przed podróżą? Po drodze z miasta zauważyłem całkiem przyjemną knajpkę ze stolikami w ogródku. Podobno podają tam steki z prawdziwej argentyńskiej wołowiny.

- Obiad? - Perspektywa zatopienia zębów w soczystym mięsie musiała jej się wydać nęcąca, bo oblizwała wargi czubkiem różowego języka.

Gage wpatrywał się w jej usta jak zahipnotyzowany, czując wyraźnie, że podskakuje mu ciśnienie. Z wysiłkiem odwrócił wzrok, w duchu przywołując się do porządku. Lauren mogła wyglądać ponętnie, świeżo i słodko jak dziewczyna z sąsiedztwa, ale jej bystre, czujne spojrzenie i spokojna pewność, z jaką panowała nad maszyną wartą milion dolarów, świadczyły o tym, że była kimś o wiele bardziej skomplikowanym. I, być może, niebezpiecznym. Zdecydował się nawiązać z nią bliższą relację, ale nie dlatego, że był nią zauroczony, tylko w celu wyeliminowania zagrożenia, jakie mogła stanowić dla rodziny przyjaciela.

Tym bardziej nie mógł sobie pozwolić na to, żeby stracić dla niej głowę. Kto wie, co ukrywała pod powierzchownością, która każdego zdrowego mężczyznę musiała doprowadzać do szaleństwa?

- Niestety. - Lauren pokręciła głową i zacisnęła usta. - Regulamin Hightower Aviation nie dopuszcza żadnych osobistych relacji pomiędzy pracownikiem a klientem. Dziękuję za zaproszenie, panie Faulkner, jednak lepiej będzie, jeśli zostanę w samolocie i dokończę przygotowania, podczas gdy pan zje obiad.

- A ty, jadłaś coś dzisiaj?

- Tak. - Zamrugła, wyraźnie zdziwiona jego troską. Miała złociste, gęste i cudownie długie rzęsy. Gage zupełnie nie rozumiał, jak mógł wcześniej przeoczyć ten fakt. - Jadłam kanapkę. Podręczna samolotowa lodówka jest zaopatrywana przed każdym lotem w całkiem smaczne przekąski.

- To świetnie. Wobec tego i ja posilę się na pokładzie - oświadczył.

Czy mu się zdawało, czy naprawdę po jej twarzy przemknął grymas niezadowolenia?

Z jakiegoś powodu Lauren nie życzyła sobie jego towarzystwa, czuł to wyraźnie. Nie wiedział tylko dlaczego. Z natury nie był namolny, ale w tym przypadku nie zamierzał ustąpić. Zagadka, jaką stanowiła panna Lynch, intrygowała go o wiele za bardzo.

Zapadał zmierzch i firmowy parking tonął w półmroku. Lauren grzebała w torebce w poszukiwaniu kluczyków do samochodu, kiedy usłyszała za sobą szybkie, ciche kroki. Dziewczyna, która tak jak ona była samodzielna od szesnastego roku życia i spędzała wolny czas, włócząc się po malowniczych drogach Ameryki, w takiej sytuacji działała instynktownie. I błyskawicznie.

Wyrwała klucze z torebki i chwyciła je w zaciśniętą pięść jak kastet, płynnym ruchem obracając się ku napastnikowi. Jeśli jakiś rzezimieszek myślał, że trafił na ofiarę, której łatwo będzie wyrwać torebkę, to bardzo się pomylił.

Zebrała się w sobie, gotowa zadać cios, i stanęła oko w oko z Trentem.

Powstrzymała się, by nie przywalić pięścią w jego marsowe oblicze, choć mogła przecież udawać, że była tak przestraszona, że najpierw uderzyła, a dopiero potem zobaczyła, kto idzie. Przez moment wahała się, czy po prostu nie wsiąść do samochodu, ignorując przyrodniego brata, ale i z tego zrezygnowała. Nie była typem osoby, która unika konfrontacji, salwując się ucieczką.

- Powinieneś zadbać o lepsze oświetlenie parkingu - rzuciła bez wstępów. - Gdybym była bardziej impulsywna, właśnie rósłby ci spory guz na ciemieniu.

Trent spojrział na jej wciąż zaciśniętą pięść i kluczyki złowrogo sterczące spomiędzy palców.

- Przekażę tę uwagę ochronie - mruknął, zatrzymując się w bezpiecznej odległości od niej.

- Czym mogę ci służyć, Trent? - Nie uśmiechnęła się.

Czubek jej pantofla zaczął wybijać na asfalcie niecierpliwy rytm.

- Lauren, jeśli Gage wyraża życzenie, żeby ci towarzyszyć w kokpicie, nie rób trudności. Jeżeli zaprasza cię na obiad, przyjmij zaproszenie - odezwał się przyrodni brat tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Jesteś pracownikiem Hightower Aviation, więc powinno ci zależeć na tym, by tak ważny klient jak Gage Faulkner był w pełni usatysfakcjonowany naszymi usługami.

Lauren odsłoniła zęby w uśmiechu, którego nawet największy optymista nie mógłby uznać za słodki i uległy.

- Dokładnie jak daleko mam się twoim zdaniem posunąć, spełniając życzenia pana Faulknera? - wycedziła.

- Nikt nie wymaga od ciebie, żebyś robiła cokolwiek nielegalnego ani niemoralnego - zniecierpliwił się Trent.

- To wspaniale. Ale ty wyraźnie oczekujesz ode mnie, że będę postępować wbrew regulaminowi Hightower Aviation. Jeśli mam nagiąć choć jedną zasadę, potrzebuję twojej zgody na piśmie. Najchętniej w formie oficjalnego dokumentu.

- Nie ufasz mi, siostrzyczko?

- Jestem twoją przyrodnią siostrą - poprawiła chłodno. - I nie, nie ufam ci. Już pierwszego dnia jasno dałeś mi do zrozumienia, że nie życzysz sobie mojej obecności tutaj. Nie zamierzam wręczyć ci czeku in blanco, na którym mógłbyś spokojnie wypisać moje dyscyplinarne zwolnienie.

- A może ja bym ci wypisał czek, Lauren? - powiedział Trent powoli. - Jaka suma skłoniłaby cię do tego, by odejść w pokoju?

Przez chwilę nie wierzyła własnym uszom. A potem oburzenie zawrzało w niej i przesłoniło wzrok czerwoną mgłą.

- Ty dupku! - Chciała krzyknąć, ale z jej gardła wydobył się tylko zduszony szept. - Czy dałam ci jakikolwiek pretekst, żebyś mógł sądzić, że możesz mnie kupić? Rozumiem, że możesz mnie nie lubić, ale nie mam pojęcia, dlaczego uparłeś się podejrzewać mnie o pazerność i wyrachowanie! Ile razy mam ci powtarzać, że jestem tu tylko dlatego, że tego życzyli sobie moi rodzice? Przez trzydzieści lat ty i twoje rodzeństwo mieliście matkę na własność. Nie sądzisz, że ja też mam prawo się nią nacieszyć? Nie bój się, nie ukradnę wam jej.

- Utrzymujesz podobno, że znałaś matkę od dzieciństwa. - Nawet nie próbował ukrywać oskarżycielskiego tonu.

- Domyślam się, że twój szpieg zdążył już złożyć raport - parsknęła.

- Przepraszam bardzo. - Z półmroku za Trentem wynurzyła się wysoka, męska postać. Lauren stłumiła westchnienie. Czy Gage naprawdę musiał się pojawić akurat w tym momencie? - Nie mówiłaś, że mam utrzymać naszą rozmowę w dyskrekcji, więc...

- Proszę się nie wysilać, panie Faulkner. Nie jestem naiwna i bez trudu się domyśliłam, po czyjej stronie leży pańska lojalność.

Przez chwilę stali naprzeciwko siebie w milczeniu i mierzyli się wzrokiem: postawny mężczyzna o szerokich ramionach i smukła, wysoka kobieta. Jeśli zechcieliby rozwiązać konflikt za pomocą rękoczynów, nie wiadomo, kto uzyskałby przewagę. Oboje wyglądali groźnie.

Trent musiał dojść do podobnych wniosków, bo zdecydowanie wkroczył między Lauren a Gage'a.

- Skoro znałaś matkę od czasów dzieciństwa, możesz nam wyjaśnić, dlaczego dopiero teraz dowiedzieliśmy się o twoim istnieniu?

- To chyba jasne. Nasza matka z jakiegoś powodu chciała utrzymać wszystkich w niewiedzy. Wyobraź sobie, że mnie z kolei nie powiedziała o twoim istnieniu. - Lauren zarzuciła torebkę na ramię i zrobiła krok w stronę samochodu, ale nagle obróciła się na pięcie. - À propos, wiedziałeś, że mój ojciec był jednym z założycieli Hightower Aviation? - powiedziała tonem pogawędki i z satysfakcją odnotowała, że obaj mężczyźni zastygli w bezruchu, jakby rzuciła im pod nogi odbezpieczony granat.

Trent potrzebował zaledwie sekundy, żeby się opanować i przybrać swój zwykły, nieprzystępny wyraz twarzy.

- Możesz to udowodnić?

- Mogę. Kiedy porządkowałam papiery taty po... pogrzebie, znalazłam stare dokumenty i zdjęcia. Okazuje się, że nasi ojcowie służyli razem w Siłach Powietrznych, a kiedy zakończyli służbę, wspólnie założyli lotniczą firmę czarterową. Cienko przędli, bo mieli dużo zapału, ale niewiele pieniędzy do zainwestowania, i wtedy na horyzoncie pojawił się Bernard Waterman, ojciec Jacqueline. Zaoferował wniesienie znacznego kapitału w zamian za jedną trzecią udziałów. Nie wiem, jaką rolę w całym układzie odegrała nasza matka...

- Będę musiał sprawdzić prawdziwość tej historyjki.

- Życzę powodzenia. Jediną osobą, która może potwierdzić moje słowa, jest Jacqui, a ją ciężko zmusić do mówienia. - Lauren nie miała pojęcia, dlaczego matka otacza historię rodziny tajemnicą. Ani dlaczego ojciec nigdy jej nie opowiedział o swoich związkach z Hightowerami. - Jednak nie musisz czuć się zagrożony, szefie. Nie planuję zażądać mojej części udziałów, bo nie odziedziczyłam ich po tacie. Mama odkupiła je od niego, kiedy była ze mną w ciąży, oferując mu bardzo przyzwoitą stawkę. Za te pieniądze tata założył Falcon Air, a jego współnikiem został wujek Lou, który wcześniej też pracował w Hightower Aviation.

- Wujek? - Trent posłał jej zaniepokojone spojrzenie.

- Bez obaw. - Lauren uśmiechnęła się krzywo. - Jest z tatą tylko spowinowacony. I na pewno nie pojawi się jutro w twoim gabinecie, oświadczając, że również należy do rodziny i oczekuje, że zapewnisz mu ciepłą posadkę.

Gage stanął obok Trenta i wsunął ręce w kieszenie.

- Właśnie wybieraliśmy się na drinka - powiedział swobodnie. - Może chciałabyś dołączyć do nas, żebyśmy mogli porozmawiać przy kieliszku wina?

W oczach Trenta błysnęło zdziwienie. Wyraźnie zmieszany, przestąpił z nogi na nogę.

- Dzięki za propozycję, ale naprawdę muszę iść do domu i odpocząć. - Lauren cofnęła się o krok. - Jestem na nogach od czwartej rano, a jutro muszę się zameldować na lotnisku o tej samej porze, żeby przygotować samolot na lot do Lancaster.

- Dobranoc, Lauren - podchwycił Trent szybko. - Nie będziemy ci dłużej przeszkadzać.

- Nie czekaj na mnie, Trent. - Gage spojrzał na przyjaciela wymownie. - Dołączę do ciebie w restauracji.

Po chwili wahania Trent ruszył bez słowa do samochodu, zostawiając Gage'a i Lauren samych, stojących naprzeciwko siebie bez słowa w gęstniejącym mroku.

Nie wiedziała, dlaczego nie może przestać patrzeć w jego oczy. Czy to wrodzona czujność kazała jej obserwować potencjalne źródło zagrożenia? Czy została zniewolona siłą jego spojrzenia? Nie zauważyła, kiedy podszedł do niej, zmniejszając odległość mię-

dzy nimi do kilku centymetrów. Wciąż wpatrzona w niego, rozchyliła usta, ale nie była w stanie nabrać tchu.

- Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz, Lauren. - Jego niski, głęboki głos nie miał w sobie ciepła. - Nie prosiłem Trenta, żeby stręczył mi ciebie. Zaproponowałem, żebyśmy zjedli razem obiad tylko dlatego, że nie lubię jadać sam. Nie musisz się obawiać, że będę nastawał na twoją cnotę. Nie jesteś w moim typie.

- To się świetnie składa, bo ty nie jesteś w moim - wypaliła bez zastanowienia. Jego słowa zaboląły ją bardziej, niż była gotowa przyznać.

- Wspaniale. - Gage cofnął się o krok. - A więc, do zobaczenia jutro rano.

Odprowadziła wzrokiem jego wysoką postać, gdy zmierzał pewnym, szybkim krokiem do swojego samochodu.

Jakie kobiety były w typie Gage'a?

Co cię to obchodzi? Zajmij się swoimi sprawami.

Zdecydowanie nie powinna zaprzętać sobie głowy upodobaniami Faulknera. Miała ważniejsze problemy. Nie potrafiła jednak zapomnieć o tym mężczyźnie. Jego głęboki, chłodny głos wciąż rozbrzmiewał w jej uszach. A kiedy zacisnęła powieki, widziała wpatrzone w siebie ciemne oczy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Lauren przestąpiła z nogi na nogę, wpatrując się w wysokie na cztery metry, mahoniowe odrzwia. Zawsze, kiedy składała wizytę w rezydencji Hightowerów, czuła się jak prostaczka, którą nieoczekiwanie wpuszczono do królewskiego pałacu. Domiszczonieśmiał ją swoim ogromem i bogactwem, ostentacyjnie widocznym w każdym, najdrobniejszym elemencie wystroju.

Po trudnym dniu marzyła tylko o tym, żeby wrócić do swojego przytulnego mieszkania nad garażem, które wynajmowała od sympatycznej starszej damy, i skulić się na kanapie z kubkiem herbaty miętowej i książką. Ale skoro Trent planował spędzić wieczór poza domem, nadarzała się sposobność, by przeprowadzić decydującą rozmowę z matką. Lauren była zdecydowana wykorzystać tę szansę.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem, które przywiodło jej na myśl wizg upiora.

- Dobry wieczór, panienko. - Lokaj Hightowerów, wysoki i ascetycznie chudy starszy dżentelmen, ubrany w nieskazitelną czerń, zgiął się w sztywnym ukłonie.

- Witaj, Fritz.

- Pani czeka w salonie. - Lokaj ruszył przodem, a Lauren posłusznie podreptała za nim.

Stukot jej obcasów o marmurową posadzkę rozlegał się echem w wysokim na trzy kondygnacje holu. Ugięła kolana, starając się stapać na palcach, żeby nie zakłócać dystygowanej ciszy panującej w tym przybytku, który jej zdaniem bardziej przypominał muzeum niż dom mieszkalny.

W drzwiach do salonu Fritz skłonił się ponownie i dyskretnie wycofał, znikając w jednym z licznych korytarzy. Lauren przestąpiła próg i zawahała się.

- Widzę, że przyszedłeś prosto z pracy. - Jacqui siedziała w masywnym fotelu o fantazyjnie wywiniętym oparciu i rzeźbionych podłokietnikach, ustawionym przed kominem z jasnego kamienia.

Wyglądała po królewsku w popielatym, jedwabnym komplecie ze spodniami, w szpilkach z krokodylej skóry i grubym naszyjniku z kilku splecionych ze sobą sznurów czarnych pereł. Fizyczne podobieństwo między matką a córką było tak wyraźne, że Lau-

ren zachodziła w głowę, jakim cudem nie domyśliła się wcześniej, kim jest Jacqui. Może stało się tak dlatego, że matka prezentowała zupełnie inny styl niż córka. Zawsze była perfekcyjnie i dość mocno umalowana, a na misternie ułożonych włosach miała elegancjki, platynowopopielaty balejaż. Lauren natomiast praktycznie nie używała innych kosmetyków niż mydła, szamponu i kremu z filtrem przeciwsłonecznym. Nie miała czasu ani cierpliwości na to, żeby sterczeć przed lustrem.

- Muszę przyznać, że jest ci bardzo do twarzy w mundurze Hightower Aviation. - Jacqui przyjrzała się córce z zadowoleniem. - Cieszę się, że udało mi się przeforsować stworzenie damskiej wersji munduru pilota z wąską, ołówkową spódnicą.

- Eee - zająknęła się Lauren, zbita z tropu. - Dzięki, że znalazłaś dla mnie czas, mamo.

- Ależ oczywiście. Zawsze jesteś tu mile widziana.

Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli - pomyślała Lauren z przekąsem. Jacqui bynajmniej nie promieniowała matczyną serdecznością. Miała w sobie tyle ciepła, co góra lodowa dryfująca po arktycznym oceanie. Nie podniosła się z fotela, nie wzięła córki w objęcia. Kiedy Lauren pochyliła się nad nią, matka musnęła jej policzek gładkimi, chłodnymi wargami.

- Siadaj, proszę. - Majestatycznym gestem wskazała sofę z brokatowym obiciem stojącą naprzeciwko. - Z czym przychodzisz?

- Chciałabym porozmawiać o ojcu. - Lauren przycupnęła na skraju zbyt miękkiej, jak na jej gust, poduszki.

- Przecież wiesz - Jacqui skrzywiła usta w grymasie bólu - że nie potrafię o nim rozmawiać. Jeszcze nie teraz. Ten temat wciąż jest dla mnie zbyt bolesny. Tak bardzo tęsknię za Kirkiem...

- Ja też za nim tęsknię. - Choć emocje matki wydawały się szczere, Lauren nie zamierzała ustąpić. Od długich dwóch miesięcy Jacqui zbywała wszystkie jej pytania dotyczące ojca. - Ja też tęsknię, mamo. I właśnie dlatego muszę zrozumieć, co się wydarzyło podczas jego ostatniego lotu. W jakim był stanie ducha, kiedy tamtego dnia usiadł za sterami samolotu?

Jacqui wstała i podeszła do mahoniowego barku, wystukując obcasami niespokojny rytm na kamiennej posadzce. Dłoń drżała jej lekko, kiedy nalewała sobie szklaneczkę brandy.

- Skąd miałabym wiedzieć, o czym myślał twój ojciec podczas tamtego lotu?

- Byłaś ostatnią osobą, która z nim rozmawiała przed startem. Czy wydawał ci się zestresowany, rozkojarzony albo przybity?

- Zestresowany? Przybity? Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Lauren odetchnęła głęboko. Niektórzy przyjaciele ojca słyszeli, jak Kirk Lynch mówił bardzo niepokojące rzeczy w ostatnich miesiącach życia, kiedy to okazało się, że jego ukochana Falcon Air popadła w długi. Te plotki przeraziły Lauren. Dotąd poza wujkiem Lou z nikim o nich nie rozmawiała.

- Wśród przyjaciół taty jest kilku, którzy sądzą, że jego śmierć to nie był wypadek. Słyszeli podobno, jak mówił, że gdyby zginął, pieniądze z jego ubezpieczenia na życie wystarczyłyby na spłatę długów Falcon Air.

Jacqui drgnęła, omal nie rozlewając brandy.

- Nie - wyrzuciła z siebie. Mimo makijażu widać było, że gwałtownie pobladła. - Kirk nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Nie zostawiłby mnie... ani ciebie. - Szybko podeszła do Lauren, usiadła obok niej na sofie i dotknęła jej ramienia niepewnym gestem. - Od chwili, gdy powiedziałam Kirkowi, że noszę jego dziecko, stałaś się dla niego całym życiem. Byłaś jego największą radością. Zawsze myślał przede wszystkim o tobie.

Gorące wzruszenie chwyciło Lauren za gardło i wycisnęło łzy.

- Też uważam, że tata nie mógł popełnić samobójstwa. Gdyby planował tak drastyczny krok... musiałabym coś przeczuwać. Ostatni rok był dla nas trudny i ojciec niepokoił się wieloma rzeczami, ale nie był nieszczęśliwy - powiedziała zdławionym głosem. Ileż razy próbowała przekonać samą siebie, że właśnie tak wyglądała prawda? Zawsze jednak pojawiał się lęk, że być może ojciec próbował jej coś przekazać, a ona tego nie zauważyła. - Towarzystwo ubezpieczeniowe odmawia wypłacenia pieniędzy z polisy, dopóki nie skończy własnego śledztwa mającego na celu wykluczenie samobójstwa.

- Potrzebujesz pieniędzy? - Jacqui podniosła się, sięgnęła po leżącą obok barku torbkę. - Powiedz ile. Zaraz wypiszę czek.

- Dziękuję, mam, ale już ci mówiłam, że nie chcę od ciebie żadnych pieniędzy. - Lauren starała się nie pokazać po sobie zniecierpliwienia. - Mam tylko jedną prośbę. Powiedz mi, o czym rozmawiałaś z tatą tamtego dnia. To musiała być ważna rozmowa, bo zaraz po niej wyjechałaś, po raz kolejny znikając z naszego życia, a on wsiadł do samolotu i... rozbił się na moczarach.

Jacqui milczała długo, a po jej gładko upudrowanych policzkach spływały ciche łzy.

- Winisz mnie za to, co się stało? Sądzisz, że w jakiś sposób doprowadziłam do śmierci Kirka? - wyszeptała drżącymi wargami.

- Skąd mam wiedzieć, jak było, skoro nie chcesz mi powiedzieć prawdy? - Głos Lauren pozostał chłodny. Jacqui była zawsze doskonale opanowaną, wręcz beznamiętną osobą. Nagły wybuch emocji nie musiał być szczery.

- Naprawdę... nie jestem w stanie o tym rozmawiać. - Jacqui z uporem pokręciła głową.

- Mamo...

- Lauren, wiem, że mi nie uwierzysz, ale ja kochałam Kirka. - Jakby się poddając, matka podeszła do swojego fotela i ciężko usiadła. Przez chwilę milczała, kuląc ramiona i zaciskając na torebce palce splecionych dłoni. - Był jedynym mężczyzną, którego kiedykolwiek kochałam. Myśl, że już nigdy go nie zobaczę...

Bezgłośny, gwałtowny szloch wstrząsnął szczupłymi ramionami Jacqui. Gdy uniosła dłoń i przycisnęła ją do ust, na serdecznym palcu błysnął ogromny brylant w platynowej oprawie.

Lauren stłumiła w sobie odruch współczucia. Jacqui wydawała się szczerze opłakiwać Kirka, ale podczas rozmowy ani razu nie spojrzała jej w oczy. Było coś śliskiego w sposobie, w jaki uciekała wzrokiem na boki. Zupełnie jakby coś ukrywała.

- Tata był jedynym mężczyzną, jakiego kochałaś? - spytała z naciskiem, pochylając się ku matce. - Przecież wyszłaś za mąż za innego.

- To było zaaranżowane małżeństwo. Ojciec obiecał zainwestować ogromne pieniądze w Hightower Aviation natychmiast po moim ślubie z Williamem Hightowerem.

- Zgodziłaś się na taki układ?

- Między mną a ojcem relacje były... napięte. On był apodyktyczny, a ja zbuntowana. Nie miałam zamiaru spełniać jego oczekiwań, zachowywać się jak panienka z dobrego domu. Posuwałam się do coraz poważniejszych wybryków. Ojciec desperacko szukał sposobu, żeby mnie zmusić do ustatkowania się. Popadłam w duże kłopoty i wtedy postawił mi ultimatum: albo zastosuję się do jego życzenia i zostanę panią Hightower, albo będę musiała poradzić sobie sama, bez pieniędzy na kaucję i dobrych prawników.

- Więc wyszłaś za męża za Williama.

- Tak. Był przystojnym, energicznym mężczyzną, który dobrze wiedział, czego chce w życiu. Mój ojciec liczył na to, że William Hightower poradzi sobie z jego rozbrykaną córeczką. A ja... byłam pod wrażeniem jego ambicji. I sądziłam, że z czasem go pokocham. Niestety, myliłam się.

Lauren zmarszczyła brwi. Dlaczego Jacqui nigdy nie rozwiodła się z Williamem, skoro kochała innego mężczyznę?

- A co z moim ojcem? - spytała cicho. - Jak znalazł się w tym trójkącie?

- William kochał w życiu tylko dwie rzeczy: samoloty i hazard. Bardzo szybko obarczył mnie wszystkimi obowiązkami związanymi z zarządzaniem firmą. Nie miałam doświadczenia, a mąż był zbyt zajęty swoimi... rozrywkami, żeby mi pomóc. Wtedy zaprzyjaźniłam się z Kirkiem. Wspierał mnie w ciężkich chwilach. Nasza przyjaźń szybko przerodziła się w coś więcej. Wiedziałam, że postępuję źle, ale zakochałam się w nim. A on we mnie.

Lauren poczuła się nagle bardzo niezręcznie. Trudno jej się było pogodzić z faktem, że ojciec świadomie nawiązał romans z mężatką.

- Kiedy zaszłam w ciążę z tobą, Kirk kazał mi wybierać: albo rozwiodę się z Williamem i założymy prawdziwą rodzinę, albo zakończy nasz związek. Nie chciał dłużej być sekretnym kochankiem. Nie, kiedy miał mieć ze mną dziecko. Tymczasem ja... nie mogłam wystąpić o rozwód. Ojciec zapisał w testamencie, że jeśli odejdę od męża, zostanę wydziedziczona. Straciłabym wszystko: fundusz powierniczy, spadek, udziały w Hightower Aviation. Musiałam też myśleć o dzieciach, które miałam z Williamem. Nie zostawiłabym ich z tym... z ich ojcem.

- Ale mnie zostawiłaś bez wahania.

- Skąd wiesz, że bez wahania? - Jacqueline zamrugła, walcząc ze łzami. - Kiedy William dowiedział się o wszystkim, kazał mi oddać cię do adopcji, gdy tylko się urodzisz. Kirk zażądał, żebym oficjalnie uznała go za twojego ojca. Gdybym tego nie zrobiła, wobec prawa byłabyś córką Williama. Miałaś się nigdy nie dowiedzieć, kim była twoja matka. Kirk uważał, że tak będzie lepiej. Zgodziłam się na jego warunki. Wiedziałam, że będzie znakomitym tatą. W zamian prosiłam tylko, żeby pozwolił mi was odwiedzać.

- Skoro kochałaś ojca, jak mogło ci wystarczyć widywanie go tylko raz w roku, przez tydzień?

- William nigdy nie był wzorem cnót małżeńskich, ale nie zgodziłby się na to, żeby żona otwarcie go zdradzała. Jeden tygodniowy wyjazd w roku był wszystkim, na co mi pozwolił. Czekanie na te dni utrzymywało mnie przy życiu.

Lauren stłumiła westchnienie. Jej ojciec żył tylko dla tego jednego tygodnia, który mógł spędzić z Jacqui. Może i postawił kochance ultimatum, grożąc zerwaniem, jeśli nie odejdzie od męża, ale nie umiał być konsekwentny. Nie wobec niej. Kiedy przyjeżdżała, szalał z radości, a kiedy znikawała, popadał w ponure odrętwienie i choć Lauren starała się jak mogła, nie była w stanie go pocieszyć.

- Faktycznie, musiało ci być ciężko - powiedziała gorzko, szerokim gestem wskazując ściany salonu wyłożone rzeźbioną boazerią, zabytkowe obrazy i antyczne meble sprowadzane z Europy. - Dobrze, że miałaś przynajmniej luksusową rezydencję i armię służących na każde skinienie. Może to choć trochę koło twoje złamane serce.

Jacqui zgarbiła się, jakby cierpka ironia w głosie Lauren sprawiła jej fizyczny ból.

- Gdybym mogła zostawić to wszystko i żyć z Kirkiem, wierz mi, zrobiłabym to bez wahania.

- Dobry wieczór, mamó. Nie wiedziałem, że planujesz przyjmować dziś gości. - Od drzwi salonu dobiegł mocny, męski głos. Lauren zdrętwiała. Nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, kto stoi w progu. Po tonie głosu poznała, że Trent nie jest zachwycony, że ją tu zastał.

- Lauren nie jest żadnym gościem. - Jacqui podniosła głowę i uśmiechnęła się chłodno. - Należy do rodziny.

Trent nie odpowiedział, tylko popatrzył czujnie na Lauren i na matkę, która wciąż zaciskała dłonie na torebce.

- Właśnie miałam wychodzić. - Lauren zerwała się z miejsca. - Dobranoc wszystkim.

Szansa na wyciągnięcie od Jacqui informacji przepadła. Nie mogła kontynuować rozmowy w obecności Trenta. Gdyby przyrodni brat zaczął się domyślać, że śmierć jej ojca mogła nie być nieszczęśliwym wypadkiem, dostałby do ręki broń mogącą zniszczyć Falcon Air i Lauren nie wątpiła, że by z niej skorzystał. W biznesie czarterowych przewozów lotniczych konkurencja była duża, a walka o klienta - bezpardonowa.

Lauren poruszyła się niespokojnie, jakby fotel pasażera w wynajętym samochodzie był pułapką, która zatrzasnęła się, więżąc ją wbrew jej woli. Gęsta jak mleko mgła, która pojawiła się znikąd i zasnęła całą okolicę, ograniczając widoczność do kilku metrów, spowodowała wstrzymanie ruchu lotniczego, ona i Gage ugrzęźli w miasteczku, do którego przylecieli tego ranka. Może gdyby Faulkner nie przedłużył pracy o całe dwie godziny, zdążyliby wystartować przed załamaniem pogody, ale kiedy wreszcie pojawił się na lotnisku, mogli już tylko czekać. Tkwili w samolocie aż do zmroku w nadziei, że mgła opadnie i dostaną pozwolenie na start, ale daremnie. Według prognoz, pogoda miała się poprawić dopiero następnego ranka. Jeśli Lauren nie chciała spędzić kolejnych dwunastu godzin w samolocie, bez porządnego posiłku, prysznic i łóżka, musiała przyjąć zaproszenie Gage'a, który wynajął samochód i zamierzał zabrać ją do restauracji, a potem do jednego z miejskich hoteli, gdzie już zarezerwował pokoje dla nich obojga.

Kiedy z mglistego półmroku wynurzył się rześkie oświetlony budynek luksusowej restauracji, Lauren stłumiła pełne frustracji warknięcie.

Dlaczego los pokarał ją towarzystwem kolejnego faceta, który z uporem godnym lepszej sprawy usiłował jej udowodnić, że nie należy do jego sfery? Dobrze przecież wiedziała, że w świecie wielkich pieniędzy i blichtru nie ma dla niej miejsca. Whit, jej długoletni kochanek i prawie narzeczony, uzmysłowił jej to niezwykle wyraziście. Dopóki młoda pilotka i motocyklistka stanowiła dla zamożnego, młodego biznesmena jedynie „odpoczynek wojownika”, wszystko było w porządku. Jednak gdy mieli wspólnie pokazać się w towarzystwie, Lauren musiała wysłuchiwać nauk na temat tego, jak po-

winna się ubrać i jak zachowywać. Zupełnie jakby była nieokrzesaną dzikuską, której każdy krok należało kontrolować, żeby nie popełniła gafy. W imię łączącej ich miłości, w którą święcie wierzyła, znosiła to traktowanie z pokorą. Aż do dnia, w którym na horyzoncie pojawiła się idealna kandydatka na żonę dla White'a, i tenże z dnia na dzień zapomniał, że Lauren Lynch w ogóle istniała.

I dobrze, powiedziała sobie, odpędzając gorzkie wspomnienia. Gdyby wyszła za mąż za White'a, do końca życia byłaby dziewczyną znikąd, która złapała Pana Boga za nogi. Przyglądano by się jej podejrzliwie, szeptano by, że upolowała bogatego męża, lecz choćby nie wiadomo, jak się starała, i tak nie zaakceptowano by jej w jego rodzinie ani wśród znajomych. Podobnie jak nie akceptowano jej w rodzinie Hightowerów. Od tamtego czasu wiedziała jedno - bogatych facetów należało omijać szerokim łukiem. Lauren Lynch zawsze będzie dla nich tylko pilotką, stojącą na baczność w sztywnym mundurze i czekającą na polecenia. Ich świat nigdy nie stanie się jej światem.

Nie była więc zachwycona, że właśnie jeden z nich wiozł ją do restauracji, gdzie głupia przystawka musiała kosztować tyle co paliwo na międzynarodowy lot.

- Posłuchaj, czy nie moglibyśmy pójść do jakiejś knajpki mniej... - Lauren nerwowo przyglądała spódnicę od munduru.

- Mniej co?

- Mniej wykwintnej. Rozumiem, że od zawsze stołowałaś się w tego typu przybytkach, ale ja po prostu chcę dobrze zjeść, a nie siedzieć nad wielkimi talerzami, na których artystycznie ułożono porcje wielkości naparstka, i rozwiązywać łamigłówki, jakim sztucem należy spożywać którą z potraw - wyrzuciła z siebie. - Poza tym nie mam odpowiedniego stroju.

Gage zwolnił, szukając miejsca do zaparkowania. Przed maską ich samochodu przedelfowała para zmierzająca ku wejściu. Szpakowaty mężczyzna ubrany był w smoking z jedwabnymi wyłogami, a dobre dwadzieścia lat młodsza od niego blondwłosa kobieta, chwiejnie stąpająca na absurdalnie wysokich obcasach, miała na sobie futro z nieskazitelnie białych karakułów i brylantową kolbę, która musiała ważyć co najmniej dziesięć kilo.

Lauren jęknęła głucho.

- Skąd pomyślał, że od zawsze stołowałem się w tego typu przybytkach? - Widząc autentycznie przerażoną minę Lauren, Gage omal nie parsknął śmiechem.

Zrobiła dłonią szeroki gest, pokazując jego garnitur, białą koszulę zapinaną na srebrne spinki i szwajcarski zegarek na grubej, ciężkiej bransolecie.

- Jesteś kumplem Trenta, więc nietrudno się domyślić, że podobnie jak on urodziłeś się ze srebrną łyżeczką w buzi. A ponieważ w pałacu czekał szwadron francuskich guwernantek, żeby ci usługiwać, nawet tej łyżeczki nie musiałeś zbyt długo nosić sam.

Gage spojrzał na nią szczerze rozbawiony. Lauren chciała coś jeszcze powiedzieć, ale głos uwiązł jej w gardle. Faulkner patrzył na nią z bliska, a w jego oczach, ciemnych jak dwa agaty, lśniły iskierki humoru. Kiedy się uśmiechnął, w twarzy o oliwkowej cerze błysnęły równe, białe zęby. Och, jaka szkoda, że Gage Faulkner był klientem Hightower Aviation, przyjacielem Trenta, a na dodatek bogatym skurczybykiem.

Jaka szkoda, że nie była w jego typie.

- Nie urodziłem się w żadnym pałacu, Lauren - powiedział Gage, poważniejąc. - Moi rodzice nigdy nie byli bogaci, a w pewnym momencie stracili wszystko, co mieli. Mama nie wytrzymała tej sytuacji i po prostu z dnia na dzień zniknęła. Sypiałem w pika-pie taty, dopóki nie zainteresowała się mną opieka społeczna i nie przeniosła do pogotowia opiekuńczego. Wierz mi, ani w jadalni Armii Zbawienia, ani w domu dziecka nie jadało się po królewsku.

- Nie pochodzisz z bogatej rodziny? - Przyjrzała mu się uważnie, ale w jego oczach zobaczyła tylko szczerłość. Nie wyglądało na to, by wymyślił tę bajeczkę na jej użytek.

Lauren wolałaby, żeby kłamał. Nie chciała wyobrazić sobie Gage'a jako małego, głodnego chłopca, porzuconego przez matkę. Wolała wierzyć, że jest zepsutym, zadufanym w sobie bogaczem jak Trent, Brent i Beth, trójka jej przyrodniego rodzeństwa.

- Tak się składa, że nie pochodzę z bogatej rodziny - odpowiedział spokojnie, nie unikając jej wzroku. - Na wszystko, co teraz mam, ciężko pracowałem. Ale to nie znaczy, że nie potrafię docenić mistrzowskiej kuchni i sprawnej obsługi.

- Jak to się stało, że wylądowałeś na renomowanym uniwersytecie razem z Trentem?

- Wywalczyłem stypendium, dostałem pomoc finansową od państwa, a nocami tyrałem jako wykidajło w niezwykle urokliwych spelunkach, zupełnie niepodobnych do tej restauracji dla nudnych bogaczy.

Lauren spojrzała na ogromne okna, po których łagodnymi falami spływała woda i egzotyczne rośliny podświetlone kolorowymi lampami. We wnętrzu panował subtelny półmrok, rozjaśniony punktowymi reflektorami. Kelnerzy w białych frakach przemykali między stolikami płynnie jak duchy.

- Gage, proszę cię - wyjąkała. - Jestem zmęczona, a tutaj na pewno nie poczuję się swobodnie. Moglibyśmy...?

- W porządku. - Uśmiechnął się. - Znajdziemy jakąś... mniej wykwintną knajpkę po drodze do hotelu.

- Dzięki. - Odetchnęła z ulgą, kiedy Gage wrzucił wsteczny bieg i wycofał się z parkingu dla klientów.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

- Jeśli chodzi o to, co powiedziałaś wcześniej, o swoim dzieciństwie... - odezwała się wreszcie Lauren, spuszczać wzrok - przykro mi, że musiałaś przez coś takiego przechodzić. Naprawdę bardzo mi przykro.

- Nie potrzebuję litości. - Gage pokręcił głową i zacisnął usta, jakby żałował, że za bardzo się odsłonił. - Chciałem tylko, żebyś wiedziała, kim jestem. Uważam, że człowiek nie zasługuje na nic ponad to, co sam wypracuje.

- Zgadzasz się z tobą - przytaknęła skwapliwie. - Ja też ciężko pracowałam na wszystko, co mam.

- Czyżby? - Posłał jej spojrzenie pełne niedowierzania.

Lauren zacisnęła zęby. Dlaczego ten człowiek uparł się, żeby widzieć ją w złym świetle i oskarżać o rzeczy, na które nie miał dowodów? Czy nigdy nie słyszał o domniemaniu niewinności?

- Kiedy byłem jeszcze w podstawówce, po szkole pędziłam od razu na lotnisko. Żeby zarobić na lekcje pilotażu, szorowałam podłogi, czyściłam i woskowałam samoloty. Tata uważał, że człowiek docenia tylko to, co nie przychodzi łatwo, więc w niczym mnie nie wyręczał, nie stosował taryfy ulgowej. Wręcz przeciwnie, mówił zawsze, że jeśli

spartaczą robotę, zła opinia obciąży nas oboje. Kiedy skończyłam szesnaście lat i zaczęłam się starać o papiery instruktorskie, zatrudniłam się w gastronomii. Wiem, że podawanie steków z frytkami nie jest szczytem ambicji, ale nauczyłam się pracować z klientem i oszczędnie gospodarować pieniędzmi.

- Nie skończyłaś studiów - rzucił swobodnie.

W jego tonie nie było dezaprobaty ani nadmiernej ciekawości, ale Lauren poczuła się dotknięta.

- Czy Trent naprawdę musi się dzielić z każdym wiedzą zaczerpniętą z mojego CV? - syknęła.

Ta szuja, jej przyrodni brat, nie wiedział, że gdyby to zależało tylko od niej, już miałaby w kieszeni dyplom magistra. Studiowała zaocznie na Uniwersytecie Centralnej Florydy i naprawdę niewiele dzieliło ją od osiągnięcia upragnionego celu, kiedy na drodze stanął jej brak pieniędzy. Po śmierci ojca okazało się, że Falcon Air jest zadłużona, więc zrezygnowała z większości uposażenia i teraz nie było jej stać na czesne za ostatni rok. Tylko wypłata z polisy ubezpieczeniowej Kirka pozwoliłaby jej skończyć studia.

Ale nie zamierzała zwierzać się ze swoich finansowych problemów Faulknerowi. Była pewna, że powtórzyłby wszystko swojemu kumplowi Trentowi, a on nie potrzebował dodatkowych przesłanek, by uważać ją za hienę czającą się, żeby urwać część majątku Hightowerów.

Właśnie miała powiedzieć Faulknerowi, że poziom jej wykształcenia nie powinien go interesować, o ile nie wpływa na zdolność pilotowania statków powietrznych, ale w tym momencie przed nimi ukazał się neon włoskiej pizzerii. Lauren głośno przełknęła ślinę i chrząknęła, bezskutecznie próbując zagłuszyć donośne burczenie w żołądku. Od południa, kiedy zjadła na lunch kanapkę, nie miała nic w ustach. Duża pizza z podwójnym serem to było właśnie to, czego potrzebowała po ciężkim dniu pracy.

Gage, jakby czytając w jej myślach, zaparkował przed niewielką knajpką. Po chwili siedzieli już przy drewnianym stoliku, na którym, zatknięta w szyjkę pękatej butelki z zielonego szkła, paliła się zwykła, biała świeca. Lauren z rozkoszą odchyliła się na oparcie masywnego krzesła i zaciągnęła upojną wonią, w której można było wyczuć nuty oregano, pomidorów i świeżego ciasta.

- Gdyby nie ta mgła, bylibyśmy już w Knoxville, a jutro miałybyś wolny dzień - odezwał się Gage, kiedy złożyli zamówienia. - Jak byś go spędziła?

- Wstałabym przed świtem. - Lauren, rozluźniona i uszczęśliwiona perspektywą zatopienia zębów w dużej pizzy z podwójnym serem, pieczarkami i tuńczykiem, uśmiechnęła się do marzeń. - Zapakowałabym do plecaka termos z kawą i coś do przegryzienia, a potem wskoczyłabym na motor i pojechała na najwyższe wzgórze nad Knoxville. Ze szczytu oglądałabym wschód słońca, popijając kawę. Pewnie wypuściłabym się gdzieś dalej po tych malowniczych, krętych drogach. Uwielbiam jesień, rześkie poranki, rdzawe drzewa na wzgórzach... i cierpki zapach opadłych liści.

Zamilkła i splotła palce, nagle speszona. Gage'a na pewno nie interesowało jej hobby. Pytał z grzeczności, a ona rozgadała się jak głupia.

Pojawienie się uśmiechniętej kelnerki o mocnej posturze i burzy kręconych, czarnych włosów przerwało niezręczną ciszę. Kobieta postawiła przed nimi talerze z gorącą pizzą i dwie butelki lokalnego piwa.

- Mam pomysł. - Gage pociągnął długi łyk prosto z oszronionej butelki. - Jutro rano wynajmiemy motocykle i zrobimy sobie wycieczkę po okolicy. Chyba nic się nie stanie, jeżeli do Knoxville wrócimy dopiero wieczorem?

Lauren podniosła wzrok znad pizzy. Podekscytowanie wybuchło w niej jasnym płomieniem, ale zmusiła się, by je zdusić.

- Wolałabym nie wydawać pieniędzy na wynajmowanie harleya.

- Ja stawiam. Ostatecznie, to ja się dziś spóźniłem i przeze mnie tracisz wolny dzień. Pozwól, że ci to wynagrodzę.

Posłała mu nieufne spojrzenie.

- Żeby wynająć motocykl, musisz mieć stempel w prawie jazdy zaświadczający, że zdałeś egzamin na kategorię A.

- Mam taki stempel.

Powoli odłożyła nóż, którym właśnie miała zamierzyć się na pizzę, i zmarszczyła brwi. Gage Faulkner, który nawet po osiemnastu godzinach na nogach wyglądał jak z żurnala, w idealnie skrojonym, klasycznym garniturze i z włosami ułożonymi z istic pa-

trycjuszowską elegancją zupełnie nie wyglądał na kogoś, kto by się splamił ciagotami do jeżdżenia na wielkim, warczącym motorze po błotnistych, wiejskich drogach.

- Nie wierzę ci.

- Kiedy byłem studentem, nie mogłem sobie pozwolić na samochód, więc kupiłem stary motocykl. Proszę, sprawdź sama. - Podał jej prawo jazdy.

Szybko zerknęła na dokument. Istotnie, Gage Faulkner posiadał prawo jazdy na motor. Zdążyła też zauważyć jego datę urodzenia - miał trzydzieści pięć lat. Sądziła, że jest starszy, może przez mocno zarysowane bruzdy po obu stronach ust, znamionujące upór, i głębokie zmarszczki pomiędzy brwiami.

- Wiem, gdzie jest ulica, na której mieszkasz - powiedziała zdziwiona, oddając mu dokument. - Znam tę okolicę. Nie jest przesadnie... wykwinna.

- Ano, nie jest - uśmiechnął się Gage. - Nie mam w zwyczaju wydawać pieniędzy na zbyteczne luksusy.

- Takie jak latanie wycarterowanymi samolotami? - podsunęła.

Gage milczał tak długo, że zaczęła się czuć niezręcznie. Marszcząc brwi, schował prawo jazdy z powrotem do portfela i utkwiał w niej nieprzeniknione spojrzenie.

- Zanim Trent zaproponował mi usługi swojej firmy, latałem rejsowymi samolotami - odezwał się wreszcie, cedząc słowa. - Ale teraz mam bardzo dużo zleceń i muszę się często przemieszczać po kraju. Dzięki Hightower Aviation nie tracę czasu na odprawy na lotniskach, a to jest dla mnie cenne, bo sprzedaję między innymi mój czas.

- Wybacz - szepnęła, speszona. - Zagalopowałam się. To chyba dlatego, że przeraża mnie ostentacyjnie rozrzutny tryb życia Hightowerów. Wydają nieprawdopodobne sumy pieniędzy na zupełnie niepotrzebne, ekstrawaganckie gadzety.

- A ty nie? - spytał szybko Gage.

- Ja? - parsknęła. - Bynajmniej. Jestem obrzydliwym dusigroszem.

- Ach tak? - Zmrużył oczy. - A ja myślałem, że jesteś dumną posiadaczką bardzo drogiego motocykla i jeszcze droższego wozu z napędem na cztery koła, nie mówiąc o samolocie, który jest naprawdę kosztownym cackiem.

- Widzę, że braciszek nie pominął mojego stanu majątkowego, kiedy zdradzał ci poufne informacje na mój temat. - Lauren wykrzywiła usta w grymasie, który tylko nie-

znacznie przypominał uśmiech. - Po pierwsze, nawet gdybym posiadała prom kosmiczny, to nie byłaby twoja sprawa. A po drugie, możesz zaprotokołować, że mój samochód wykupiłam za grosze ze stacji demontażu. Z tatą i wujkiem Lou odwaliliśmy przy nim kawał roboty. Teraz lśni i jeździ jak marzenie, więc Trent na pewno wyobraził sobie, że to nówka z salonu. Prawda jest taka, że potrzebuję do pracy samochodu z potężnym silnikiem, bo czasem muszę holować mniejsze samoloty. Ale że ten wóz pali jak smok, zaczęłam szukać bardziej ekonomicznego środka transportu. Harley wydawał się świetnym pomysłem, bo łączył przyjemne z pożytecznym. Kupiłam go za pół ceny, a resztę spłaciłam darmowymi lekcjami pilotażu. Samolot też nie kosztował mnie tyle, ile jest wart. Kiedy człowiek całe życie spędza na lotnisku, słyszy o różnych okazjach. Pewnego dnia dowiedziałam się, że właściciel pięknego i prawie nowego cimsa pilnie potrzebuje gotówki i jest gotów znacznie obniżyć cenę. Wzięłam kredyt na rozwój działalności gospodarczej i kupiłam go. Nie była to z mojej strony rozrzutność ani kaprys. Ten samolot to moje miejsce pracy - podkreśliła swoje słowa, dźgając widelcem kawałek pizzy.

Gage nie odpowiedział od razu. Przez chwilę patrzył na nią z uwagą, a w jego zawsze czujnych, ciemnych oczach zaczął się rodzić uśmiech. Nie zdawkowy odruch człowieka uprzejmego, lecz szczery, ciepły uśmiech. Przeznaczony dla niej. Lauren wyprostowała się gwałtownie i zamrugła zaskoczona. Dziwne łaskotanie gdzieś w głębi jej ciała, które poczuła, kiedy jego pięknie wyrzeźbione, seksowne wargi wygięły się w uśmiechu, a w oczach błysnęło autentyczne, życzliwe zainteresowanie, to musiał być głód. Nic innego. Żołądek dopominał się po prostu solidnej porcji pizzy.

- Jesteś kobietą pełną tajemnic, Lauren Lynch - usłyszała jego głęboki głos i przestała sobie wmawiać, że za reakcję jej ciała odpowiedzialna jest pustka w brzuchu. - Wybacz, że zbyt pochopnie cię oceniłem.

Lauren poczuła ulgę, jakby jakaś boleśnie zaciśnięta pętla opadła z niej nagle, pozwalając odetchnąć. Nawet nie wiedziała, jak bardzo była dotąd spięta, choć tłumaczyła sobie, że opinie innych nie mają dla niej znaczenia. Choć nieświadomie, musiała bardzo tęsknić do tego, żeby usłyszeć kilka miłych słów i zobaczyć w czyimś wzroku akceptację, a nie potępienie. Popatrzyła w bystre, ciemne oczy Gage'a i pomyślała, że mogłaby go polubić.

Szpieg Trenta. Bogaty koleś. Nie twoja liga, przypomniała sobie.

- W porządku, Faulkner - powiedziała chłodno, starając się, by nie wyczytał w tonie jej głosu żadnych emocji. - Wchodzę w to. Jutro zrobimy sobie mały rajd. Ale pod jednym warunkiem: ja poprowadzę. Na drodze obowiązuje zasada, że bardziej doświadczony motocyklista przewodzi grupie. Jeżeli nie dasz rady się podporządkować, powiedz mi to teraz.

W jego oczach wyczytała, że przyjął wyzwanie. Kącik jego ust drgnął w porozumiewawczym uśmiechu.

- Poradzę sobie ze wszystkim, co mi zafundujesz, Lynch. Spokojna głowa.

Gage Faulkner wyglądał dobrze w stroju motocyklisty. Nadspodziewanie dobrze i bardzo, bardzo seksownie. Dopasowana kurtka z czarnej skóry podkreślała szerokie ramiona i muskularną pierś, a solidne ochraniacze przyciągały wzrok ku wąskim biodrom i smukłym, mocnym nogom odzianym w denim. Całość stanowiła wyjątkowo przyjemny widok dla damskiego oka.

Manewrując wypożyczoną maszyną, Lauren posłała mu kolejne ukradkowe spojrzenie. Miał naprawdę piękną, męską linię barków i idealnie proste plecy. Włożył kask i rękawice, a potem dosiadł motoru swobodnym, wprawnym ruchem. Stopy obute w zawiadackie kowbojki ustawił pewnie po obu stronach maszyny.

- Gotów? - rzuciła, ale jej głos nie zabrzmiał tak dziarsko, jakby sobie tego życzyła.

- Gotów. - Gage leniwie przesunął wzrokiem po sylwetce Lauren.

W jego oczach błysnęło męskie, nieco drapieżne uznanie.

Pod jego spojrzeniem zapłonęła jak żagiew. Fala gorąca przetoczyła się przez nią, kumulując się w podbrzuszu. Serce zadudniło głucho w piersi, a nogi zrobiły się całkiem miękkie. Ogromnym wysiłkiem woli zmusiła się, żeby spuścić oczy. Nie mogła w tej chwili pozwolić sobie na słabość. Chwila jej dekoncentracji mogła drogo kosztować ich oboje. Nakazując sobie skupienie, dwa razy sprawdziła dane trasy wprowadzone do nawigatora GPS, a potem mocno ujęła kierownicę i zdecydowanym kopnięciem złożyła podpórkę.

- Jedź za mną, utrzymując bezpieczny dystans. Zmiany kierunku jazdy będą sygnalizować lewą dłońią. Nie przeocz...

- W porządku - powiedział spokojnie. - Po prostu jedź, Lauren. Poradzę sobie.

Bez wątpienia potrafił sobie poradzić z potężną maszyną, którą miał między udami. Jego postawa emanowała pewnością siebie. W siodle harleya wyglądał dobrze. Zbyt dobrze jak na to, by mogła patrzeć na niego, nie tracąc równowagi ducha. Lauren odwróciła się gwałtownie, spuściła wizjer kasku i szarpnęła dźwignię rozrusznika. Motor warknął głucho i potoczył się po asfalcie, nabierając rozpędu.

TLR

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gage miał wrażenie, że w jego żyłach krąży czysta adrenalina, pompując energię do mięśni i wyostrając zmysły. Stłumiony ryk potężnej bestii, której dosiadał, i świst wiatru w szczelinach kasku wypełniały jego uszy dziką, upojną muzyką. Wibracje motora przenikały jego ciało niczym uderzenia mocarnego, sześciocylindrowego serca.

Jadąca parę metrów przed nim Lauren płynnie weszła w zakręt, po mistrzowsku kontrolując przechył motocykla. Jej smukłe ciało, odziane w czarny, obcisły strój, poruszało się w doskonałej harmonii z lśniącą maszyną.

Zrobił to samo, rozkoszując się uległością idealnie wyważonego harleya. Pierwsza godzina nie była łatwa. Tak dawno nie siedział na motocyklu, że mięśnie miał spięte, a ruchy niepewne. Lauren musiała to przewidzieć, bo zaczęła od niezbyt szybkiej, łagodnej jazdy. Teraz, kiedy oswoił się już z maszyną, instynktownie przyjął właściwą pozycję i bez wysiłku kierował harleyem ruchami, które jego podświadomość zapamiętała lepiej, niż się spodziewał.

Kiedy Lauren zwiększyła tempo, wybierając trudniejszą trasę i atakując ostrzejsze zakręty, był gotów dotrzymać jej kroku. Nie pamiętał, by kiedykolwiek jazda sprawiała mu taką przyjemność. Przecinali chłodne, jesienne powietrze jak dwa rozpędzone pociągi, idealnie zgrani, a srebrzyste bestie, których dosiadali, były posłuszne najlżejszemu poruszeniu ich dłoni. Na kolejnym zakręcie pogłębili przechył, niemal kładąc się na ziemi, która umykała spod kół z zawrotną prędkością. Krew tętniła Gage'owi w skroniach, a każdy oddech wypełniał go euforycznym poczuciem mocy i wolności. Przyłapał się na tym, że śmieje się jak głupi.

Zazwyczaj nie lubił sytuacji, w których ktoś inny dowodził, a on zmuszony był się podporządkować. Musiał jednak przyznać, że w tym konkretnym przypadku podążanie za liderem było całkiem ciekawe - ponieważ pośladki owego lidera, opięte skórzanymi spodniami, wyglądały bardzo, ale to bardzo apetycznie. Wciąż uśmiechając się do siebie, oddał się kontemplacji tego miłego widoku.

Kim naprawdę jest Lauren Lynch?

Szybka, wręcz agresywna jazda sprawiała jej widoczną przyjemność. Prowadziła motor pewnie, bez najmniejszego lęku czy wahania, ale w jej stylu nie było nawet cienia brawury. Jechali przez wiejską okolicę, gdzie jak okiem sięgnąć rozciągały się zaorane pola, a stada owiec i kóz pasły się na trawiastych pagórkach. Ona zaś rozglądała się wokół ze szczerym entuzjazmem, jakby nigdy nie widziała piękniejszego miejsca. Kiedy przejeżdżali obok farmerskich zabudowań, zwalniała i unosiła wizjer kasku, widział więc, jak uśmiecha się do dzieci i psów, obserwujących ich zza płotów. Nic w jej zachowaniu nie zdawało się potwierdzać opinii, jaką miał o niej Trent. Czy rzeczywiście była chciwą i wyrachowaną łajdaczką, spragnioną łatwego zysku? Gage coraz mniej w to wierzył. Z drugiej strony, już raz miał okazję się przekonać, że lepiej nie lekceważyć przestrog przyjaciela. Gdyby dziesięć lat temu go posłuchał, uniknąłby kosztownego rozwodu zaledwie sześć miesięcy po ślubie. Piękna i wyrafinowana Angela, dokładnie tak jak przewidział Trent, owinęła go sobie wokół palca, a kiedy została panią Faulkner, natchmiast pokazała prawdziwe oblicze. Nie mieli spisanej intercyzy, więc jej prawnik bez większych trudności wywalczył dla niej sporą część majątku, który już wtedy opiewał na przyjemną, siedmiocyfrową kwotę.

Czy Trent tym razem się mylił? Wątpliwe. Raczej mylił się on, Gage, któremu uroda panny Lynch wyraźnie odbierała jasność myślenia. Powinien wziąć się w garść.

Lauren zasygnalizowała skręt w lewo i wjechała na mały parking urządzony przy punkcie widokowym. Zahamowała i poderwała do góry przednie koło, wykonując na tylnym zgrabny piruet, a potem osadziła motocykl w miejscu. Gage zatrzymał się obok niej, nie próbując powtórzyć sztuczki.

Wyłączyli silniki i cisza wiejskiej okolicy, przetykana świergotem ptaków, zamknęła się wokół nich niczym czysta woda.

- Może odpoczniemy chwilę? - Lauren lekko zeskoczyła z siodełka i zdjęła kask, a jej włosy spływały na plecy ciemnozłotą, wzburzoną rzeką.

- Świetny pomysł. - Patrząc, jak odrzuca głowę w tył i z lubością wciąga w płuca głęboki haust rzeńskiego powietrza, zsiadł z motocykla i ściągnął rękawice.

Zrobił kilka kroków po miękkiej trawie, wciąż jeszcze mokrej od porannej rosy, i poczuł, że coś się zmieniło. Przez chwilę nie wiedział, na czym polega ta zmiana, ale

kiedy sam głęboko odetchnął, ciesząc się intensywnym zapachem wilgotnej ziemi i jesiennych liści, zrozumiał. Zniknęło gdzieś napięcie, które od długich miesięcy usztywniało mu barki, powodując tępy, ciemny ból z tyłu głowy. Uśmiechnął się i zrobił kolejny, głęboki wdech. Czuł się... wspaniale. Rozpiął suwak kurtki, wystawiając tors na natarczywe pieszczoty mocnego, chłodnego wiatru. Dobrze było być tutaj, teraz, z Lauren.

- Ależ tu jest pięknie. - Rozpostarła ramiona i obróciła się powoli dookoła, jakby chciała objąć bezkres jasnoblękitnego nieba. Jej ogromne, świetliste, oczy lśniły czystym szczęściem.

To ona była piękna - piękna jak samo życie. Zapomniała o postawie obronnej, którą przybierała zazwyczaj w jego obecności. Teraz promieniała radością i witalną energią. Bezwiednie postąpił krok w jej stronę, pchany przemożną chęcią, by jej dotknąć, objąć, przycisnąć do siebie. Potrzebował tego, co ona zdawała się posiadać w nadmiarze. W jego życiu bardzo brakowało radości, spontaniczności i entuzjazmu.

Brakowało czasu i chęci, żeby cieszyć się urodą tego świata.

Nagle znalazł się tak blisko Lauren, że czubki ich butów się zetknęły. Przez chwilę patrzył na nią pociemniałymi oczami, a potem powoli uniósł dłoń i dotknął jej policzka. Nie cofnęła się, nawet nie drgnęła. Podniosła na niego oczy, jeszcze przed chwilą rozśmiane, a teraz skupione i czujne jak przy podchodzeniu do lądowania podczas nawałnicy.

Otoczył go jej zapach, delikatna woń kwiatów koniczyny połączona z cierpką nutą skóry, z której uszyto jej motocyklowy strój. Zaciągnął się chciwie tym zapachem, jedyną w swoim rodzaju wonią słodkiej kobiecości i nieujarzmionej energii, a ona odnalazła drogę do głębi jego duszy, budząc w nim pierwotny, męski głód. Usta Lauren, wrażliwe, lekko rozchylone, przyciągały go z siłą, której nie był w stanie się oprzeć. Próbował sobie powiedzieć, że nie powinien, że to zły pomysł... i już pochylał się nad nią, a ona unosiła ku niemu twarz.

Zobaczył jeszcze, jak jej oczy kryją się w cieniu złocistych rzęs, i dotknął wargami jej warg. Przez chwilę, krótką i oślepiającą jak błyskawica, zniknął świat, zatrzymał się czas. Istniały tylko jej usta, aksamitnie miękkie i jędrne jak soczysty owoc. Pragnął skosztować ich smaku. Delikatnie musnął językiem jej dolną wargę, a ona westchnęła

drżąco. Ciepło jej oddechu przeniknęło go i wypełniło żarem. Smakowała jabłkową pomadką i... czymś upajającym i nienazwanym. Sobą.

Otoczył ją ramionami i przyciągnął bliżej. Jego dłonie rozpoczęły niecierpliwą wędrówkę w dół jej pleców, obrysowały wąską talię i łuk bioder, chciwie sięgnęły ku krągłościom pośladków... Nie zdążył pogłębić pocałunku, bo Lauren nagle drgnęła i uniosła powieki, jak obudzona ze snu. W jej oczach mignął popłoch. Błyskawicznym gestem położyła dłonie na jego piersi i pchnęła go tak mocno, że omal nie upadł na wznak.

Kiedy odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę swojego motocykla, pomyślał, że zamierza po prostu odjechać. Ale musiała w ostatniej chwili zmienić zdanie, bo oparła się o maszynę i splotła ramiona na piersi. Podszedł do niej powoli, a ona spuściła głowę, pozwalając, by włosy przesłoniły jej twarz. Cisza między nimi była ciężka jak ołów.

- Gage. - Lauren podniosła głowę ruchem pełnym determinacji. - Chcę, żebyś poprosił o zmianę pilota.

- Dlaczego? - rzucił, choć wiedział, co usłyszy.

- Bo to, co się właśnie stało, nie może się powtórzyć. - Głos zadrżał jej lekko, ale nie spuściła wzroku.

- Jeśli nie zechcesz, to się na pewno nie powtórzy - powiedział cicho, nie odrywając spojrzenia od jej ust.

Jakby w odpowiedzi na pieszczotę jego oczu, przygryzła dolną wargę.

- Proszę, powiedz Trentowi, żeby ci przydzielił kogoś innego. Zrobiłabym to sama, ale mnie nie posłucha.

Długo patrzył na nią bez słowa.

- Ja też cię nie posłucham, Lauren - powiedział wreszcie. - Jesteś moja, dopóki nie wygaśnie kontrakt. Pogódź się z tym.

Nie odpowiedziała. Gwałtownym ruchem włożyła kask, wciągnęła rękawice i wskoczyła na siodełko. Uważał, że należała do niego, dopóki płacił Hightower Aviation? Więc niech spróbuje ją dogonić!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Odłączenie internetu w samolocie było dziecinnie prostym manewrem. Wystarczyło powiedzieć Trentowi, że Lauren w wolnym czasie używa komunikatora, by kontaktować się z matką, a ten o wszystko zadbał. Kiedy Gage następnego ranka wszedł na pokład, wyraźnie dostrzegł zaniepokojenie Lauren, która przygotowała już samolot do startu, i teraz, siedząc nad swoim laptopem, bezskutecznie próbowała nawiązać połączenie. Powiedziała mu o awarii i zaproponowała zmianę samolotu, ale kategorycznie stwierdził, że nie ma takiej potrzeby. Nie zamierzał korzystać z internetu podczas lotu, a do pilotażu służyła łączność radiowa, która działała bez zarzutu. Lauren, choć niechętnie, musiała przyznać mu rację.

O wiele trudniej było znaleźć hotel, który nie dysponował stałym łączem internetowym dostępnym dla gości, ale i to się Gage'owi udało. Firma, która zamówiła jego ekspertyzę, mieściła się w San Francisco, i Gage podejrzewał, że zebranie koniecznych danych zajmie mu co najmniej dwa dni. Musiał zadbać, by Lauren przez ten czas nie miała dostępu do komunikatora. Słodką Tajemnicę, pensjonacik położony w malowniczej dzielnicy San Francisco, polecił mu dawny klient, zachwycony urokiem tego miejsca. Nie było tu basenu, siłowni ani kortu tenisowego, pokoje nie miały zapewnionej nawet osobnej linii telefonicznej, nie mówiąc już o innych nowoczesnych udogodnieniach. Za to o wikt i opierunek kilkorga gości dbała osobiście właścicielka, emerytowana diwa operowa o wdzięcznym imieniu Esmeralda. Jej upodobanie do pastelowych barw, z przewagą różu i lawendy, a także do misternych, koronkowych zdobień i gromadzenia wszelkiego rodzaju bibelotów, wyraźnie widoczne było w wystroju zabytkowej willi. Gage musiał przyznać, że choć pensjonacik w niczym nie przypomina hoteli, w których zwykł się zatrzymywać, nie można mu odmówić specyficznego uroku.

- Jeszcze wina, mój drogi? - zaćwierkała Esmé. - Próbował już pan awokado z krewetkami? Tak? To teraz proszę zjeść grejpfrut nadziewany mięsem kraba. Zawsze powiadam, że lunch powinien być lekkostrawny, ale sycący. A zwłaszcza dzisiaj, kiedy obiad będzie wyjątkowo późno. Moje pozostałe gołąbki nie wrócą do gniazdka przed dziewiątą wieczór.

Leon, energiczny narzeczony Esmé, rumiany i siwobrody niczym Święty Mikołaj, napełnił mu kieliszek trunkiem własnej roboty. Gage'owi nie pozostawało nic innego, jak ogłosić kapitulację. Kiedy pół godziny wcześniej wrócił do pensjonatu, planował natychmiast zabrać się do pracy. Przyniósł ze sobą i ogromną ilość dokumentów, których przeanalizowanie stanowiło pierwszy etap wykonania ekspertyzy, i chciał się oddać tej czynności w zaciszu gabinetu przylegającego do sypialni w jego małym apartamencie na piętrze. Niczego nie podejrzewając, wkroczył na werandę i wpadł prosto w pułapkę zastawioną przez starszych państwa. Leon zaatakował z zaskoczenia, wręczając mu kieliszek schłodzonego rosé. Esmeralda wykonała manewr oskrzydlający i podstępem zmusiła, by zasiadł przy stole zastawionym smakowitymi przekąskami. Nie dano mu możliwości odmowy, więc jadł i pił, a gospodarze zabawiali go rozmową, która w najmniejszym stopniu nie przypominała przesłuchania, lecz tak naprawdę właśnie nim była. Dobroduszne uśmiechy, życzliwe zainteresowanie i wyborne, domowe jedzenie sprawiały, że przepytywany bez oporu zaczynał opowiadać o sobie więcej, niż miał w zwyczaju. Tajni agenci kontrwywiadu wiele mogliby się nauczyć od Esmé i Leona, którzy przecież uprawiali ów proceder zupełnie bezinteresownie.

Gage nie sądził, by prowadzenie pensjonatu przynosiło Esmé jakiegokolwiek materialne korzyści. Przyjmowała nie więcej niż dziesięcioro gości naraz i niemożliwie ich rozpieszczała, a cena pokoju była tak niska, że z początku był pewien, że gospodyni omyłkowo zapomniała dodać zero na końcu sumy. Najwyraźniej jednak emerytowana śpiewaczka nie potrzebowała pomnażać majątku. Choć na powitanie Gage'a wyszła z kuchni, gdzie przygotowywała wieczorny posiłek, miała na sobie biżuterię wartą więcej niż nieruchomość w luksusowej dzielnicy. Gage miał nadzieję, że starsza dama pomyślała o ubezpieczeniu swoich świecidełek.

Sytuacja finansowa Esmé nie była jednak jego głównym problemem. O wiele bardziej niepokoił go fakt, że nie zastał w pensjonacie Lauren. Gospodarze chętnie mu donieśli, że panna Lynch wyszła do miasta zaraz po tym, jak on wybrał się do pracy. Gdzie, u licha, podziewała się do tej pory?

- Nasza dziewczynka wraca - ucieszył się Leon, patrząc z okna werandy na uliczkę wiodącą ku leżącemu poniżej centrum miasta.

Gage, zaciekawiony, również wyjrzał przez okno i aż drgnął ze zdumienia. „Nasza dziewczynka” to była Lauren. Leon mówił coś jeszcze, ale Gage przestał słuchać. Całą uwagę skupił na szczupłej postaci wędrującej pod górę stromą, brukowaną uliczką. Wiatr bawił się kosmykami jej rozpuszczonych, prostych włosów. Miała na sobie białą koszulę od munduru, ale wąską spódnicę zmieniła na zwykłe džinsy, a pantofle na sandały z naturalnej skóry. Wyglądała świeżo, słodko i radośnie, gdy tak szła tanecznym krokiem, nieświadoma, że jest obserwowana. Jej usta poruszały się i Gage pożałował, że jest za daleko, by usłyszeć, co też ona wyśpiewuje. Najwyraźniej była w znakomitym nastroju.

On również nagle poczuł przypływ werwy. Jak Lauren to robiła, że sam jej widok potrafił człowieka rozweselić, dodać optymizmu i energii jak łyk esencjonalnej kawy? Jej nieodparty urok za nic miał wszelkie bariery, którymi próbował się obwarować w swoim cynizmie.

Lauren weszła na werandę, a Esmé i Leon zerwali się, witając ją pełnymi entuzjazmu okrzykami, jakby była ich dawno niewidzianą wnuczką. Po chwili starsza dama bezceremonialnie objęła ją w talii, zaprowadziła do stołu i posadziła obok Gage'a.

- Znalazłaś kafejkę internetową, o której ci mówiłam? - dopytywała się, podsuwając Lauren przekąski. - Udało ci się skończyć pracę?

Gage zmarszczył brwi. Z jego planu trzymania jej z daleka od internetu znów nic nie wyszło. Lauren była widocznie bardziej zdeterminowana, niż sądził.

- Jaką pracą się zajmowałaś? - rzucił lekkim tonem.

Lauren zeszywniała. Serdeczny uśmiech zamarł na jej wargach.

- Miałam do napisania pracę z ekonomii. Dzięki wskazówkom Esmé znalazłam miejsce z dostępem do internetu, gdzie mogłam sprawdzić potrzebne informacje, ostatecznie zredagować tekst i wysłać go profesorowi - powiedziała sucho.

- Chodzisz na jakiś kurs? - indagował, niezrażony jej wyraźną niechęcią.

Milczała chwilę, jakby się wahała, czy powiedzieć mu prawdę... albo jakie kłamstwo wymyślić.

- Studiuję zaocznie na Uniwersytecie Centralnej Florydy - powiedziała wreszcie. - Termin oddania pracy semestralnej z ekonomii upływa jutro, więc zdążyłam w samą porę.

- Spróbuj domowego winka - wtrącił się Leon, napełniając jej kieliszek.

Gage zobaczył, jak Lauren ostrożnie wypija łyżeczek przejrzystego trunku w kolorze malin i oblizuje usta. Na jej twarzy odmalowało się najpierw skupienie, potem pozytywne zaskoczenie i wreszcie błogi uśmiech. Podobnie jak on, najwyraźniej doceniła oryginalny, rześki smak napoju z wyraźną owocową nutą.

- Co studiujesz? - zadał kolejne pytanie, salutując jej kieliszkiem.

- Zarządzanie. Kończę czwarty rok.

Esmé poklepała Lauren po ramieniu.

- Bystra dziewczynka. W dzisiejszych czasach dobrze jest mieć jakiegoś asa w rękawie. Z dyplomem magistra masz dużo więcej możliwości zatrudnienia. Czy udało ci się też skontaktować z mamą, jak planowałaś?

Lauren ukryła grymas zakłopotania za kieliszkiem. Pytanie Esmé wyraźnie nie było jej na rękę.

- Tak, ale napisała, że nie może teraz rozmawiać - powiedziała z ociąganiem. - Po lunchu chyba wrócę do kafejki i spróbuję jeszcze raz ją złapać.

Na pewno nie spróbujesz, pomyślał Gage. Już moja w tym głowa. Póki Lauren siedziała przy stole, musiał wymyślić, w jaki sposób zajmie jej popołudnie. Nie mógł dopuścić, by znów zaczęła urabiać matkę.

- Często kontaktujesz się z Jacqueline - rzucił tonem pogawędki. - Jakieś konkretne sprawy?

- Nie. Po prostu rozmawiamy. - Uśmiechnęła się, ale nie spojrzała mu w oczy.

Ukrywała coś, widział to wyraźnie. Tylko co? I w jaki sposób mógł odkryć jej sekret?

- Skoro studiujesz zarządzanie, mam dla ciebie ciekawą propozycję na to popołudnie.

Kiedy po lunchu poszli na piętro, Gage zastąpił Lauren drogę, zanim zdążyła wejść do swojego pokoju. Zatrzymała się i przestąpiła z nogi na nogę.

- Tak? - rzuciła, posyłając mu podejrzliwe spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

- Mam przy sobie sprawozdania finansowe tutejszej firmy komputerowej, która ostatnio popadła w kłopoty. Zamówili u mnie program wprowadzenia usprawnień mają-

cych na celu zwiększenie rentowności. Zaraz zabieram się do przeprowadzania wstępnych analiz i zapraszam cię do współpracy.

Lauren poczuła dreszcz podekscytowania. Perspektywa towarzyszenia Gage'owi przy pracy była równie ciekawa, co niepokojąca. Z jednej strony, Faulkner był znakomitym specjalistą i z pewnością warto było podpatrzeć jego metody działania. Chociażby po to, żeby zastosować je później przy rozwiązywaniu problemów Falcon Air. Jednak z drugiej strony... spędzenie całego popołudnia z tym mężczyzną w jego pokoju hotelowym nie było najrozsądniejszym pomysłem. I Lauren nie miała zamiaru zgadzać się tylko dlatego, że rzucił taką propozycję.

- Dzięki, ale nie wiem, czy to dobry pomysł - powiedziała ostrożnie.

- Proponuję ci doświadczenie, które jest o wiele więcej warte niż ślęczenie nad podręcznikami. - Gage splótł ramiona na piersi. - Jeżeli nie jesteś pewna, czy to dobry pomysł, to znaczy, że nie zależy ci tak naprawdę na zdobywaniu wiedzy.

Lauren zjeżyła się, słysząc w jego głosie wyraźną nutę potępienia.

- Co insynuujesz?

- Że być może zabijasz czas, bawiąc się w studentkę, i czekasz, aż na horyzoncie pojawi się jakaś bardziej intratna okazja.

- Jaka znowu intratna okazja? - nie zrozumiała.

- Zastanówmy się... Może na przykład dobra praca otrzymana po znajomości, bogata mamusia albo zamożny kochanek? - powiedział Gage powoli, nie spuszczając z niej wzroku.

Lauren zachnęła się. Nabrała tchu, żeby coś powiedzieć, ale tylko pokręciła głową. Kiedy zamknęła oczy, Gage domyślił się, że liczy do dziesięciu, żeby opanować irytację.

- Nie masz prawa wtrącać się w moje życie osobiste, Faulkner - odezwała się po chwili, akcentując każde słowo. - Dopóki moje postępowanie nie wpływa na zdolność bezpiecznego prowadzenia samolotów, nie życzę sobie uwag na ten temat. A tak w ogóle, to strzeliłeś kulą w płot. Nie trzymam się pazurami posady w Hightower Aviation. Jestem cholernie dobrym pilotem i nie potrzebuję protekcji, żeby znaleźć pracę. Zresztą, nie szukam jej. Falcon Air... jest teraz w połowie moja. Kiedy wrócę do Daytony, będę

odpowiedzialna za firmę na równi ze współnikiem mojego ojca. To chyba dostateczna motywacja, żeby chcieć zdobywać wiedzę z dziedziny zarządzania, nie sądzisz?

- Nie wiem, co mam sądzić. Daję ci okazję skonfrontowania książkowej wiedzy z praktyką, a ty kręcisz nosem.

- Czego mogłabym się nauczyć, siedząc i patrząc, jak czytasz sprawozdania? - spytała buntowniczo.

- Wielu rzeczy. Jestem najlepszy w moim fachu.

- Nie grzeszysz skromnością - parsknęła.

- Och, ty też nie. - Uśmiechnął się w odpowiedzi.

Lauren spojrzała na stertę faktur, którą Gage bezceremonialnie zwałił przed nią na biurko, i przewróciła oczami. A więc tak według niego miała wyglądać jej wielka szansa na poznanie tajników pracy geniusza? Kiedy tylko zgodziła się na jego propozycję wspólnej pracy, zabrał ją do gabinetu, posadził przy biurku i obarczył wykonaniem najzwyklejszego etapu ekspertyzy. Katalogowanie faktur było zajęciem, z którym poradziłyby sobie w miarę bystry dziesięciolatek; cztery lata studiów nie były do tego potrzebne. Lauren miała jednak zbyt wiele dumy, żeby kręcić nosem. Nie pozostawało jej nic innego, jak uporać się z tą mrówczą robotą jak najprędzej. Liczyła na to, że kolejne zadanie, jakie przydzielili jej Gage, będzie wymagało używania szarych komórek.

Skoncentrowała się więc na pracy. Sortowała dokumenty i zestawiała dane w tabelach, a żeby nie zanudzić się na śmierć, notowała spostrzeżenia i komentarze na żółtych, samoprzylepnych karteczkach i oznaczała nimi starannie uporządkowane pliki faktur. Podniosła głowę dopiero, kiedy ostatni dokument został przejrzany, wszystkie dane wprowadzone do programu, opisane i zsumowane.

Zajęło jej to dwie godziny - sto dwadzieścia minut cennego czasu, który mogłaby poświęcić na przykład na zwiedzanie San Francisco. Albo na cokolwiek innego, co nie wymagało siedzenia w czterech ścianach z nosem w papierach.

- Zrobione - rzuciła, odchylając się na oparcie krzesła.

- Już skończyłaś? - Gage podniósł się z fotela i odstawił laptop, na którym przeglądał raporty finansowe. - Tak prędko?

Marszcząc brwi w grymasie niedowierzania, podszedł do niej i długo przyglądał się równo ułożonym i starannie pospinanym plikom papierów.

- Spójrzmy na to - wymruczał, sięgając po pierwszy z brzegu plik.

Podniosła się z krzesła trochę gwałtowniej, niż zamierzała. Kiedy stanął nad nią, niepokojąco wysoki i poważny w swoim ciemnym garniturze, zabrakło jej tchu, zupełnie jakby w gabinecie było za mało powietrza dla nich dwojga. Walcząc z falą nieznośnego gorąca, która pobudziła jej serce do gwałtownego kołatania, przeszła przez gabinet.

Dlaczego Gage? Dlaczego właśnie on spośród wszystkich mężczyzn samą swoją bliskością powodował instynktowną reakcję jej organizmu, niepokojące połączenie popłochu i podekscytowania? Dlaczego nie potrafiła się przed tym obronić?

Podeszła do małej lodówki zaopatrzonej przez Esmeraldę w napoje chłodzące dla gości i otworzyła puszkę coli. Pierwszy łyk zimnego, musującego napoju przyjemnie zaszczypał ją w język i spłynął w głąb gardła orzeźwiająca falą. Uchwyciła się tego uczucia, choć nie łudziła się, że pozwoli jej ono choć na chwilę zapomnieć o Faulknerze.

- Ty zrobiłaś te notatki? - Gage podniósł głowę znad papierów i spojrzał na nią z autentycznym zainteresowaniem.

- Tak - powiedziała niepewnie. - Są na samoprzylepnych karteczkach, więc można je po prostu wyrzucić...

- Z całą pewnością ich nie wyrzucimy. - Gage powoli przeglądał pozostałe pliki. - Twoje spostrzeżenia są bardzo trafne. Zauważyłaś, że firma chaotycznie wybiera dostawców zamiast nawiązać stałą współpracę z wybranymi przedsiębiorstwami.

- Takie podejście nie pozwala prognozować wydatków na dłuższą metę, a poza tym firma nie korzysta z programów lojalnościowych, które mogłyby jej przynieść znaczne korzyści - wpadła mu w słowo. - Stały klient ma większą możliwość negocjacji cen i wymagania jakości niż klient przypadkowy.

- Dokładnie. - Skinął głową, po czym sięgnął do teczki i wyjął kolejny, tym razem o wiele cieńszy plik dokumentów. - Mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie, może trochę ciekawsze niż poprzednie...

Lauren bez słowa wzięła od niego folder. Zabawa zaczynała jej się podobać.

- Firma ma portfolio inwestycyjne? - Zmarszczyła brwi, przeglądając dokumenty.

- Przejrzyj je i oceń, które inwestycje powinni zatrzymać, a których się pozbyć.

- Gage, skoro oni mają problemy z płynnością finansową, moim zdaniem powinni zawiesić wszelkie inwestycje. - Pokręciła głową. - Firma, jako taka, nie idzie na emeryturę, więc jej priorytetem nie jest odkładanie pieniędzy na przyszłość. A te inwestycje... - przez chwilę w milczeniu przewracała strony folderu - nie przynoszą wysokich dywidend. Większość z nich ostatnio generuje straty.

Nie odpowiedział od razu. Niepewna, jak ocenia jej opinię, spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich szczere uznanie. Zniknęła niechęć, podejrzliwość i nieufność, które zbyt wiele razy widziała w jego wzroku.

- Dobrze powiedziane - uśmiechnął się szczerze.

Nie docenił jej.

Gdy postanowił zająć Lauren popołudnie, żeby nie miała okazji konferować z Jacqueline, nastawił się na to, że przeżyje kilka trudnych godzin. Podejrzewał, że Lauren okaże się wyjątkowo marnym pomocnikiem - niedouczonego i mało pojętym, a na domiar złego upartym i pełnym roszczeń. Bardzo go zaskoczyła. Zwalił na nią niewdzięczną, żmudną robotę w przekonaniu, że przekopanie się przez faktury zajmie jej całe popołudnie. Założył oczywiście, że później będzie musiał sam zrobić to jeszcze raz, bo zestawienie Lauren będzie się roić od błędów.

Tymczasem ona zabrała się do pracy bez słowa protestu. Spoglądał na nią spod oka, kiedy pewnymi, oszczędnymi gestami porządkowała dokumenty, kiedy błyskawicznymi, lekkimi uderzeniami palców w klawiaturę wpisywała dane do komputera. Systematycznie, w rekordowym tempie skatalogowała dokumenty i zestawiała potrzebne dane, oszczędzając mu dobrych dwóch godzin roboty. W dodatku poczyniła ciekawe spostrzeżenia, które z pewnością przydadzą mu się na dalszym etapie opracowywania programu.

Lauren Lynch była pełna niespodzianek. Nie podejrzewał, że jest aż tak bystra.

- Pokaż mi swoją pracę z ekonomii - powiedział nagle, wiedziony impulsem. Nigdy by nie uwierzył, że kiedykolwiek będzie chciał czytać studenckie prace dla rozrywki, jednak był naprawdę ciekaw, co tam napisała.

- Dlaczego? - Lauren pociągnęła kolejny łyk z puszki. - Nie wierzysz, że studiuje?

- Wierzę. - Pokiwał głową. Zasłużył na jej sarkazm. - Masz wiedzę i umiejętności, których mógłby ci pozazdrościć niejeden właściciel dyplomu. Dlatego chciałem zobaczyć, co napisałaś. Z czystej ciekawości.

Milczała chwilę, obracając w palcach puszkę.

- Czemu nie? - zdecydowała wreszcie. - Może kiedy przeczytasz moją pracę, będziesz mógł powiedzieć swojemu kumplowi Trentowi, że nie jestem idiotką, za którą mnie uważa.

- Trent nigdy nie powiedział, że uważa cię za idiotkę. - Gage ostrożnie dobierał słowa. - I wierz mi lub nie, ale nie lecę do niego ze wszystkim, co od ciebie usłyszę. To, co się dzieje między nami, jest naszą sprawą, o ile nie dotyczy bezpośrednio Trenta.

- Dobrze wiesz, jakie zdanie o mnie ma Trent. Moje przyrodnie rodzeństwo uważa mnie za głupią gęś, której jedyny pomysł na życie to uwieszenie się na bogatej mamusi.

Gage przezornie milczał.

- Nie rozumiem, dlaczego do nich nie dociera, że całą tę ich forszę mam gdzieś? - Lauren zaczęła niespokojnie przechadzać się po pokoju. - Przecież gdybym naprawdę ostrzyła sobie pazury na majątek Hightowerów i planowała nadużyć hojności mojej matki, już dawno skorzystałabym z jej zaproszenia i wprowadziła się do rezydencji. Nie dość, że pławiłabym się w luksusie, którego podobno tak pożądam, to jeszcze miałabym tysiąc okazji, żeby sięgnąć do maminej kieszeni.

Gage zmarszczył brwi. Kolejny kawałek układanki, której na imię Lauren, zupełnie nie pasował do wzoru, jaki przedstawił mu przyjaciel.

- Dlaczego nie wprowadziłaś się do rezydencji Hightowerów, skoro Jacqueline cię zapraszała? - spytał, szczerze zdumiony.

- Żartujesz? - prychnęła. - Z całym szacunkiem, ale to domiszcze o wiele za bardzo przypomina muzeum jak na mój gust. A na dodatek pełno tam służących, którzy bezgłośnie przemykają po dywanach, śledzą każdy twój krok i wyręczają cię we wszystkim, jakbyś był dzieckiem, które nie umie samo powiesić płaszcza na wieszaku albo nalać sobie herbaty. To mnie przeraża. Stanowczo wolę moje wynajęte mieszkanko, choć nie ma tam antyków, a zmywać muszę sama.

- Rozumiem twój punkt widzenia. - Gage nie mógł się nie uśmiechnąć. - To co? Dasz mi przeczytać pracę z ekonomii?

- Mam ją u siebie, w laptopie. - Ruszyła do drzwi. - Poczekaj, zaraz przyniosę...

- Nie trzeba. - Kiedy wyszła na korytarz, zrównał z nią krok. - Przeczytam ją u ciebie.

Lauren otworzyła drzwi do swojego pokoju i stanęła w progu, spoglądając na Gage'a z wyraźnym wahaniem. Po chwili podjęła decyzję, zaczerpnęła tchu jak przed skokiem na głęboką wodę i cofnęła się, wpuszczając go do środka.

Wnętrze było niewielkie i wyglądało jak po wybuchu w fabryce koronek. Ogromne łoże przykryte koronkową narzutą kryło się w cieniu koronkowego baldachimu, a koronkowa firanka filtrowała światło wpadające przez wysokie okno. Przy oknie stał nieduży stolik przykryty, oczywiście, koronkową serwetką, a obok niego wygodny fotel z koronkowym obiciem. Wszystko utrzymane było w nieskazitelnej bieli, co w połączeniu z ciemnym drewnem podłogi i mebli dawało lekko zwariowany, ale całkiem ładny efekt.

Lauren podeszła do stolika, usiadła i włączyła laptop, a potem otworzyła plik tekstowy. Gage zrobił kilka niepewnych kroków i zatrzymał się na środku pokoju. W tym bardzo kobiecym wnętrzu czuł się zagubiony. Czy podobnie czuli się kawalerowie z dawnych czasów, zakradając się do panińskich buduarów?

- Proszę, możesz czytać. - Lauren podniosła się z fotela, ale zatrzymał ją, kładąc dłoń na jej ramieniu.

- Nie wstawaj. Stąd widzę tekst zupełnie dobrze.

Widziałby, gdyby patrzył na ekran komputera. On jednak nie mógł oderwać wzroku od delikatnego karku siedzącej przed nim dziewczyny. Zanim zabrała się do pracy, zwinęła włosy i upięła je z tyłu głowy, używając do tego celu ołówek. Ponad kołnierzem jej białej koszuli, tuż pod linią włosów, zauważył niewielkie znamię w kształcie podkowy, dokładnie takie jak u Trenta. Skórę na karku miała delikatną, pokrytą złotym meszkiem. Pragnienie, żeby jej dotknąć, pocałować, zaciągnąć się jej słodkim zapachem przeszło go nagle, gwałtowne niczym dźgnięcie ostrogą. Była tak blisko...

Jakby czytając w jego myślach, Lauren poruszyła się niespokojnie i szybkim gestem wyciągnęła ołówek z włosów. Ciemnozłota kurtyna opadła, przesłaniając kuszący widok jej odsłoniętej skóry.

Nie zabrał dłoni z jej ramienia. Poczul, jak napina mięśnie, ale nie zaprotestowała, więc przysunął się bliżej, stając tuż za jej krzesłem. Otoczył go subtelny miodowy zapach kwiatów koniczyny unoszący się z jej włosów. Skupienie wzroku na ekranie laptopa zajęło mu dobrą chwilę.

Dziesięć minut później kończył czytać ostatnią stronę pracy.

- Bardzo ciekawa rzecz, przekonująco wyłożona - powiedział, zamykając dokument. - Sama wymyśliłaś temat czy został zadany przez profesora?

- To był mój pomysł. - Lauren umknęła spod jego dłoni i podniosła się z fotela. - Uwielbiam kawę. Miałam w Daytonie kilka ulubionych kafejek, zawsze wpadałam przed pracą do jednej z nich. Aż nagle te kafejki, jedna po drugiej, zaczęły plajtować. Zauważyłam, że ma to związek ze zmianą charakteru przestrzeni miejskiej i postanowiłam przyjrzeć się bliżej temu zjawisku... Ale tobie pewnie moje wnioski wydają się banalne.

- Wręcz przeciwnie. - Jej niepewność poruszyła go. Kiedy przysłoniła oczy rękami i przygryzła wargę, poczul, że oszaleje, jeśli zaraz nie weźmie jej w ramiona. W rozpiętej pod szyją białej koszuli, z rękawami podwiniętymi powyżej łokci, wyglądała świeżo i uroczo. Młodziutka, bystra i niezwykle seksowna analityczka. - Twoje ujęcie problemu jest oryginalne. Nie myślisz schematami, tylko twórczo poszukujesz rozwiązań.

Uśmiechnęła się, a on zapatrzył się na jej usta. Nagle przypomniało mu się, jak całował jej miękkie, ciepłe wargi i zalała go fala żaru. Zbyt dobrze pamiętał ich smak, by nie tęsknić za nim jak wariat.

- Jesteś fascynującą kobietą, Lauren Lynch - wymruczał, pochylając się nad nią. - Gdybyś nie była cholernie dobrym pilotem, namawiałbym cię, żebyś została doradcą biznesowym. Masz wiele talentów.

Oczy jej zognomniały, gdy uniosła ku niemu twarz.

- Gage - wyszeptała.

Zignorował rozedrganą niepewność w jej głosie i dotknął wargami jej warg w chwili, kiedy wypowiadała jego imię. Szybkim, zaborczym gestem otoczył ramionami jej

talię. Zesztywniała, ale nie odepchnęła go od siebie, więc nie zwolnił uścisku, pieszcząc wargami jej chłodne, wciąż jakby zdrętwiałe usta. Minęła chwila, odmierzona szybkimi, mocnymi uderzeniami ich serc, szumem krwi pulsującej w skroniach. Wargi Lauren rozchyliły się w niemym westchnieniu, a jej ciało zmiękło niczym jedwabna wstęga, dopasowując się idealnie do jego objęć. Z dreszczem zachwytu zrozumiał, że trzyma w ramiach tajemnicę, której nawet jeszcze nie zaczął pojmować. Lauren... była objawieniem. Choć nigdy, w najśmielszych snach nie przeczuwał, że dane mu będzie spotkać taką kobietę, od zawsze tęsknił za nią w głębi duszy.

Przesunął czubkiem języka po jej dolnej wardze, a kiedy poczuł jej upajający smak, pożądanie wybuchło w nim i zmaćło myśli. Przyciągnął ją do siebie bliżej, tak blisko, że czubki jej piersi musnęły jego tors, a biodra oparły się o jego uda. Lauren przymknęła oczy, uniosła ramiona. Poczul, jak wplata palce w jego włosy, przyciąga jego głowę bliżej, by pogłębić pocałunek.

Całowała tak, jak pilotowała samolot i jak jeździła motocyklem. Stuprocentowo skupiona na zadaniu, całkowicie pochłonięta pasją, pełna entuzjazmu.

Ręce drżały mu jak nastolatkowi na pierwszej randce, kiedy sięgnął do zapięcia jej koszuli. Niecierpliwie rozpiął jeden guzik, drugi, trzeci... Unieruchomiła jego nadgarstki, przykrywając je dłońmi. Podniosła na niego oczy pociemniałe od intensywnego, drapieżnego pragnienia i szybkim ruchem przesunęła jego ręce na swoje piersi. Jędrne i cudownie krągłe wypełniły mu dłonie niczym słodkie, dojrzałe brzoskwinie. Lauren westchnęła drżąc i odrzuciła głowę w tył. Jego ciało stanęło w ogniu. Przywarł ustami do delikatnej, kremowej skóry jej szyi, uniósł w dłoniach ciężkie krągłości jej piersi, przesłonięte białą koronką stanika, i odnalazł opuszkami kciuków ich twarde, naprężone sutki. Lauren powiodła palcami w dół jego karku i wbiła krótko przycięte paznokcie w mięśnie pleców, budząc dreszcze w głębi trzewi.

Obrócił ją tyłem do łóżka. Chciał ją pchnąć, by padła na wznak na materac, zedrzyć z niej ubranie i posiąść ją. Płonął i tylko jej nagość mogła ugasić jego żar.

Gdzieś z bardzo daleka dobiegł ich dźwięk dzwonka.

- Obiad - szepnęła Lauren z ustami tuż przy jego ustach. - Esmé wzywa wszystkich do jadalni.

- Chrzanić obiad - wychrypiał, atakując kolejny guzik jej koszuli.

Zaśmiała się, łapiąc oddech i wymykając się jego rękom.

- Złamałbyś Esmé serce, gdybyś pogardził jej kulinarnymi arcydziełami.

Nie bardzo rozumiał, co mówiła. Widział tylko, że stoi przed nim zarumieniona, z ustami wilgotnymi od pocałunków. Jej prosta, biała koszula rozpięta do pasa ukazywała jasnozłotą skórę i strome wzniesienia piersi okryte ażurową koronką.

Tłumiąc jęk frustracji, postąpił krok w jej stronę.

- Nie. - Cofnęła się, ostrzegawczo unosząc dłoń.

- Lauren...

- Nie, Gage. Nie możemy posunąć się dalej. - Spoważniała. - Gdyby to dotarło do Trenta, straciłabym pracę.

Nie chciał teraz myśleć o przyjacielu ani o swoim długu wobec niego.

- Pragniesz mnie tak samo jak ja ciebie - powiedział z uporem, patrząc jej w oczy.

- To prawda. - Nie spuściła wzroku. - Ale ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie mogę sobie pozwolić na spełnienie wszystkich pragnień.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przy dużym okrągłym stole zajmującym centralną część jadalni siedziały już cztery osoby. Lauren zatrzymała się w progu, odruchowo przyglądając włosy i rzucając nerwowe spojrzenie na zapięcie koszuli.

- Dobry wieczór wszystkim. - Szeroki uśmiech zamarł na jej wargach, kiedy usłyszała własny głos, o wiele zbyt dziarski i wesoły, by brzmieć naturalnie. Przestraszyła się, że wszyscy bez trudu odgadną powód ich spóźnienia.

- Lauren! Gage! Nareszcie jesteście! - Esmé, przepasana falbaniastym fartuchem, wychynęła z kuchni niby zza kulis teatru. - Nie mogliśmy się was dowołać. Już miałam wysłać Leona, żeby was szukał...

Lauren poczuła, że płoną jej policzki. Usta wciąż jeszcze miała obrzmiałe od pocałunków Gage'a. Musiała przyznać, że facet był dobry w te klocki. Wystarczyła pieszczota jego warg, by rozbudzić w niej namiętność, której siła zachwyciła ją i przeraziła jednocześnie. Jeszcze nigdy nie przeżyła czegoś takiego. Na pewno nie z White'em, choć byli ze sobą przez kilka lat, a ona łudziła się, że łączy ich miłość aż po grób.

- Poznajcie naszych pozostałych gości - podjęła Esmé. - Sue i Ron przyjechali z Utah, a Tracy i Jack z okolic Austin.

Choć drobna, uśmiechnięta Sue o twarzy rumianej jak jabłko, błękitnych oczach i burzy marchewkowo-rudych loków, podobnie jak jej wysoki, szpakowaty towarzysz dobiegali już czterdziestki, podczas gdy zwiewna platynowa blondynka o imieniu Tracy i opalony na brąz, krótko ostrzyżony Jack musieli niedawno skończyć liceum, na pierwszy rzut oka było widać, że obydwie pary są w podróży poślubnej. Nowożeńcy posyłali sobie miłosne spojrzenia, głaskali się po rękach i chylili ku sobie, jakby z trudem znosili stan fizycznego rozdzielania.

Leon zapraszającym gestem wskazał dwa wolne krzesła. Ustawiono je o wiele za blisko siebie jak na to, by Lauren mogła poczuć się swobodnie podczas posiłku. Omijając wzrokiem Gage'a i starając się nie pokazać po sobie popłochu, podeszła do stołu. Gage ze swobodnym uśmiechem odsunął dla niej krzesło, po czym zajął sąsiednie miejsce. Ich ramiona musnęły się lekko, a Lauren drgnęła, jakby poraził ją prąd.

Esmé wniosła tacę zastawioną wysokimi szklankami, których oszronione krawędzie zdobiły plastry limonki, a wewnątrz, pomiędzy kostkami lodu migotały głęboką zielenią liście mięty.

- Zaczniemy od mojito. - Uśmiechnęła się. - Jestem pewna, że przyda się wam wszystkim... coś na orzeźwienie.

Tracy i Sue zachichotały, a ich mężowie posłali im bardzo wymowne spojrzenia. Kiedy nowożeńcy pochylili się ku sobie, bez skrępowania wymieniając pocałunki, Lauren sięgnęła po szklankę i wlała w siebie potężny haust zimnego napoju. Patrzenie na dwie pary gołąbeczków, radośnie oddające się zajęciu, którego ona z najwyższym trudem sobie odmówiła, było wymyślną torturą.

Po pewnym czasie na stole pojawił się wniesiony przez Leona imponujący zestaw do fondue mięsnego po burgundzku. W żeliwnym rondlu z podgrzewaczem wrzała najprzedniejsza oliwa, a delikatna wołowina marynowana w ziołach aż się prosiła o to, by ją nabić na długie, stalowe szpadki i usmażyć na rumiano. Przed każdym z gości stanął wielki talerz z dodatkami do mięsa - kruchą sałatą, pomidorami i cienkimi strączkami zielonej fasolki szparagowej. Esmeralda podała jeszcze cztery sosy - andaluzyjski z bakłazanem i papryką, francuski pachnący octem balsamicznym i musztardą z Dijon, łagodny holenderski i pikantny aioli.

- Częstujcie się, kochani. - Gospodyni zmierzyła suto zastawiony stół spojrzeniem pełnym dumy, podczas gdy Leon krzątał się, napełniając kieliszki gości wytrawnym czerwonym winem. Lauren zdecydowanie poprosiła o wodę. Jeśli chciała przetrwać ten wieczór, nie popełniając życiowego błędu, musiała zachować trzeźwy umysł.

- Skąd pochodzisz, Lauren? - Tracy, młodziutka blondynka z Teksasu, posłała jej życzliwy uśmiech ponad żeliwnym rondlem, w którym wszyscy smażyli swoje kawałki mięsa.

- Z Daytony, na Florydzie.

- Masz tam rodzinę?

Niespodziewana fala tępego, obezwładniającego bólu na chwilę pozbawiła Lauren tchu. Czy to już zawsze tak będzie, pomyślała, rozciągając usta w sztucznym uśmiechu. Słyszała przecież, że czas leczy rany...

- Mój tata... niedawno zmarł.

- Och, tak mi przykro. - Tracy zakasłała speszona, jednak zaraz odzyskała rezon. - Ale masz jeszcze mamę, prawda?

- Nie. Wychowywał mnie tata i jego partner.

- Twój tata był gejem? - wypaliła blondynka, przyglądając się Lauren z nieskrywanym zainteresowaniem. Jej mąż, wyraźnie zakłopotany, dał jej lekkiego kuksańca w ramię, lecz ona nie zwróciła na to najmniejszej uwagi.

Lauren omal nie parsknęła śmiechem na myśl o ojcu i wujku Lou jako parze kochanków.

- Miałam na myśli jego partnera w interesach. Razem prowadzili firmę i byli przyjaciółmi, ale nic więcej.

- Ach, dwóch wolnych biznesmenów. - Tracy mrugnęła porozumiewawczo do Lauren. - Założę się, że kobiety ustawiały się do nich w kolejce. Zawsze była na podorędziu jakaś sympatyczna ciocia, która bawiła się z tobą albo zabierała cię na spacer, mam rację?

Lauren potrząsnęła głową. Blondynka była niemożliwie wścibska, ale jej oczy lśniły szczerą życzliwością. Nie sposób było się na nią denerwować.

- Mój ojciec kochał w życiu tylko jedną kobietę, moją matkę - powiedziała cicho, bardziej do siebie niż do rozmówczyni. - A ponieważ nie mógł z nią być, wybrał samotność.

- A dlaczego nie mógł z nią być? - chciała wiedzieć Tracy. - Och... ona pewnie też umarła! Przy twoim porodzie!

- Kochanie, proszę cię, daj spokój. - Ciemnooki Jack posłał swojej żonie błagalne spojrzenie, a potem popatrzył przepaszająco na Lauren.

- Proszę wybaczyć Tracy, ona już taka jest. Interesuje się ludźmi i nie może nic na to poradzić...

- Nie ma problemu - uśmiechnęła się Lauren. - Widzisz, Tracy, moja matka nie mogła być z moim ojcem i ze mną, bo była, i nadal jest, żoną innego mężczyzny. Ale nie martw się. Niczego mi nie brakowało.

Nie była to do końca prawda. Jako mała dziewczynka Lauren nie mogła zrozumieć, dlaczego inne dzieci mają mamy, a ona nie. Później, kiedy podrosła, zachodziła w głowę, dlaczego ojciec nie chce jej zdradzić, kim była kobieta, która wydała ją na świat. W dniu osiemnastych urodzin dowiedziała się prawdy, ale nigdy nie zapytała Jacqui, dlaczego zdecydowała się ją opuścić i wybrać swoją drugą rodzinę. Ta niewiedza bolała ją czasem jak drzazga od dawna tkwiąca w jej ciele.

- Och, dajmy spokój tym rodzinnym perypetiom. - Rudowłosa Sue posłała Lauren spojrzenie pełne zrozumienia i współczucia. - Opowiedz nam lepiej, jak poznałaś Gage'a. Od dawna jesteście parą?

- Nie jesteśmy parą - odpowiedzieli jednocześnie.

- Nie? To interesujące... - Błękitne, inteligentne oczy Sue zalśniły. - Wobec tego pozwól, że spytam, czym się zajmujesz, Lauren?

- Jestem pilotem. Gage jest klientem firmy, dla której... - Coś dotknęło jej kolana. Urwała zaskoczona, a kiedy zrozumiała, że to Gage głaszcze ją pod stołem, zgubiła wątek. - ...dla której pracuję - dokończyła z trudem i posłała Faulknerowi groźne spojrzenie, ale on wydawał się całkowicie pochłonięty obsmażaniem kolejnego kawałka mięsa. Tylko że drugą rękę trzymał pod stołem, a długi, zwieszający się prawie do ziemi obrus pozwalał mu zaczepiać ją zupełnie bezkarnie.

- Jesteś pilotem! - wykrzyknęła Tracy. - To fantastycznie!

Palce Gage'a przesunęły się wyżej. Teraz leniwie kreśliły zawiłe linie po wewnętrznej stronie jej uda. Lauren zamarła, jakby wszystkie mięśnie jej ciała poraził nagły skurcz. Dotyk Gage'a był jak muśnięcie otwartego płomienia, a ona w każdej chwili mogła stanąć w ogniu niczym wiązka chrustu.

- Tak... właśnie... jestem pilotem - wydukała, próbując złapać oddech. Gage nie przestawał błędzić palcami po jej udzie, coraz leniwiej, coraz wyżej... Powoli, nieubłagannie pożar ogarniał jej ciało. - Latam samolotami, helikopterami... i...

Brawo, Lauren. Bardzo inteligentna wypowiedź. Jak jeszcze mogłabyś latać? Na miotle?

Przygryzła wargę aż do bólu. Musiała coś zrobić, zanim Gage doprowadzi ją do obłędu. A najlepszą obroną był atak.

- Zajęcie Gage'a jest o wiele ciekawsze - oświadczyła, starając się panować nad twarzą. - Jest jak Zorro świata biznesu, ratuje z opresji firmy, które dopadł kryzys. Wiodące czasopisma biznesowe przyznały mu tytuł najskuteczniejszego doradcy finansowego w ostatnim roku. Jest człowiekiem, którego warto mieć po swojej stronie w ciężkich czasach.

Oczy wszystkich zwróciły się na Gage'a. Lauren stłumiła westchnienie ulgi, kiedy jego dłoń pod stołem znieruchomiała i cofnęła się.

- Jestem po prostu konsultantem - zaczął z ociąganiem, wobec autentycznego zainteresowania w oczach gości. Lauren uśmiechnęła się niewinnie, zanurzyła strączek fasolki w sosie winegret i schrupała ze smakiem. Jej lewa ręka dyskretnie zanurkowała pod obrus. Nie tylko Gage potrafił niegrzecznie się bawić.

- Możesz coś powiedzieć o swojej strategii? - spytał mąż Sue zaciekawiony.

Lauren położyła dłoń na udzie Gage'a, powoli, po kocjemu naprężyła palce. Jego mięsień stwardniał jak granit, kiedy wbiła w niego paznokcie.

- Najpierw. Oceniam. Co. Przynosi. Przedsiębiorcy. Największe. Straty - wydukał Gage, z wyraźnym trudem dobierając słowa.

Tryumfalny uśmieszek zamarł na wargach Lauren, kiedy dłoń Gage'a odnalazła jej rękę pod stołem.

Unieruchomił ją, splatając palce z jej palcami i przyciskając ją mocniej do swojego twardego uda.

Tym razem nie miała zamiaru pozwolić, by ją zdeprymował. Krew zaszumiała jej w skroniach, adrenalina zamrowiła w opuszkach palców. Chciał walki, to będzie ją miał.

- Och, Gage jest naprawdę dobry w tym, co robi - powiedziała, wachlując się rzęsami. - Dziś przed obiadem miałam okazję być świadkiem jego... pracy... i muszę powiedzieć, że wciąż jestem pod wrażeniem.

Spod opuszczonych rzęs rzuciła mu wymowne spojrzenie. W ciemnych oczach Gage'a zamigotały iskry.

- Co tam ja. - Machnął lekceważąco ręką. - Lauren, to dopiero jest fenomen. Nie do wiary, ile rozlicznych talentów ma ta dziewczyna. Nigdy nie spotkałem tak pełnej entu-

zjazdu i pasji... współpracownicy Wierzcie mi, z niecierpliwością czekam, aż pokaże mi, co jeszcze ukrywa w zanadrzu.

- Gage, bo się zarumienię. - Chichocząc, nadziała na szpadkę kawałek pieczarki i zanurzyła go we wrzącej oliwie. - Jednak cieszę się, że odpowiada ci mój styl... pracy. Już podczas naszej pierwszej rozmowy nie ukrywałam, że moją pasją są... nowe doświadczenia. Uwielbiam podrywać do lotu potężne maszyny Im mocniejszy silnik i bardziej wytrzymały sprzęt, tym lepiej, bo jestem dość wymagającą... pilotką.

Zanurzyła pieczarkę w sosie, włożyła ją sobie do ust i powoli oblizwała wargi.

Nozdrza Gage'a zadrgały. Jak drapieznik czający się do skoku nie odrywał po-ciemniałego, skupionego spojrzenia od jej ust. Nie spuściła wzroku. W jej złotych oczach płonął ogień. Wpatrywali się w siebie, obojętni na wszystko wokół, nieświadomi upływu czasu.

Lauren oprzytomniała pierwsza, przywołana do rzeczywistości głuchą ciszą, jaka zapanowała przy stole. Wszyscy patrzyli na nich z widocznym przejęciem. Kobiety, włączając - to Esmé, miały rumieńce na twarzach. Mężczyźni oddychali ciężko.

- Zaraz podam flan. - Esmé zerwała się z miejsca.

- My z Tracy... chyba podziękujemy za deser. - Jack rzucił młodziutkiej żonie wymowne spojrzenie i szybko się podniósł. - Flan jest z pewnością znakomity, ale myślę, że musimy teraz... odpocząć. Mamy za sobą długi dzień.

- O, tak - podchwyciła blondynka. - Esmé, Leon, dzięki za wszystko, ale my z Jac-kiem naprawdę musimy już pójść do łóżka... - urwała i przykryła dłonią usta, czerwieniąc się jak piwonia.

- My też pójdziemy już na górę. - Sue uśmiechnęła się, kiedy mąż znacząco położył rękę na jej dłoni.

- Dziękujemy za wspaniały obiad, Esmé.

- Ach, ci nowożeńcy. - Leon pokręcił głową, kiedy obydwie pary zniknęły za drzwiami. - Zawsze ta sama zabawa: najpierw nie sposób się doprosić, żeby przyszli na obiad, a potem znikają, zanim skończą posiłek, tak im się spieszy do sypialni. Esmé westchnęła z rezygnacją.

- Zostawię flan w lodówce, a wazę z ponczem na kredensie. Nasze gołąbeczki na pewno jeszcze przed północą zgłodnieją. Dobranoc, moi drodzy - zwróciła się do Lauren i Gage'a, wciąż jeszcze siedzących przy stole.

- Dobranoc, Esmé - odpowiedzieli chórem. - Dzięki za obiad. Był wyśmienity.

- Lubisz igrać z ogniem - wymruczał Gage z ustami tuż przy uchu Lauren, kiedy gospodarze zniknęli w swoim prywatnym apartamencie za kuchnią.

- Och, wydaje mi się, że ty również. - Pochyliła ku niemu głowę, a jej włosy spłynęły mu na twarz. Jedwabista, wonna pieszczota wypełniła go żarem. Zaciągnął się jej słodkim, kobiecym zapachem, a potem zdecydowanym gestem ujął Lauren za ramiona i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Ja mam już dosyć gierek - powiedział gardłowo. - Będę wobec ciebie szczery: jeśli teraz pójdziemy razem na górę, rozbioreę cię do naga, wezmę do łóżka i nie wypuszczę przed jutrzejszym porankiem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Lauren miała serce w gardle. Waliło jak młotem, dławiąc ją, uniemożliwiając oddech. Podobnie czuła się tylko raz w życiu - kiedy stała w otwartych drzwiach samolotu lecącego na wysokości dziesięciu tysięcy metrów i przygotowywała się do swojego pierwszego skoku ze spadochronem. Wtedy też, podobnie jak teraz, była przerażona. A zarazem całkowicie pewna, że zrobi dokładnie to, na co się zdecydowała.

Tylko najlepsi piloci mogli sobie pozwolić na to, by podczas lotu słuchać instynktu, niezależnie od wskazówek przyrządów. Ona należała do tej uprzywilejowanej grupy. Jej szósty zmysł nigdy jej nie zawiódł, a teraz mówił jej wyraźnie, że na przekór zdrowemu rozsądkowi powinna podjąć ryzyko. I Lauren tak właśnie zamierzała postąpić.

Nie mogła zignorować fal skoncentrowanej energii, które uderzały ją za każdym razem, kiedy spojrzała w ciemne oczy Faulknera. Nie mogła udawać, że jego głęboki głos nie wprawia jej w drżenie, a najlżejszy dotyk nie przeszywa dreszczem. Nie mogła nie zauważyć, że między nią a tym mężczyzną, którego jeszcze nie tak dawno szczerze nie cierpiała, działo się coś niezwykłego. Musiał być jakiś powód, dla którego los postawił go na jej drodze właśnie teraz, kiedy czuła się tak bardzo rozbita i samotna po śmierci ojca. Chciała odkryć ten powód. Postanowiła pójść za głosem instynktu.

Uniosła szklankę z wodą do ust i ponad jej krawędzią spojrzała na mężczyznę siedzącego obok niej.

Był szpiegiem jej brata. Nieprzyjacielem. Mimo to nie mogła się doczekać, kiedy zostanie jej kochankiem.

- Wiesz, tak się składa, że ja też nie mam ochoty na deser - powiedziała powoli, świadoma, że wkracza na drogę, z której nie ma odwrotu.

Zobaczyła, jak w jego oczach wybucha płomień. Przez chwilę patrzył na nią bez słowa, a potem spokojnym, zdecydowanym ruchem podniósł się z krzesła i wyciągnął do niej rękę.

Podążyła mu dłonią, a on splótł palce z jej palcami. Wstała i omal nie upadła. Nogi miała zupełnie miękkie. Zrobiła jeden chwiejny krok i poczuła, jak jego silne ramię obejmuje ją w talii.

Poprowadził ją ku wyjściu z jadalni, a potem schodami na górę. Szła powoli, rozglądając się dookoła. Wszystko zdawało jej się trochę nierzeczywiste, jak we śnie. Głowę miała dziwnie lekką, a ciało nieważkie. Czy naprawdę zamierzała pójść do łóżka z człowiekiem, którego prawie nie знаła? A jeśli... popełni fatalny błąd? Chętnie podejmowała ryzyko, gdy chodziło o sprawy zawodowe, ale w życiu prywatnym zawsze była ostrożna. Dość powiedzieć, że odkąd półtora roku temu rozstała się z White'em, w jej życiu nie było żadnego mężczyzny. Przygodny seks po prostu nie był w jej stylu.

Kiedy zatrzymali się przed jej pokojem, gwałtownie wróciła do rzeczywistości. Podjęła decyzję i nie zamierzała zmieniać zdania. Wyjęła klucz z torebki i otworzyła drzwi.

- Jesteś tego pewna? - Gage opuścił ramię, którym obejmował ją w talii, i zrobił mały krok w tył, widocznie nie chcąc wywierać na nią najmniejszego nacisku.

Gotów był się usunąć, jeśli Lauren zmieni zdanie.

Czekał na jej decyzję, dając jej szansę, gdyby w ostatniej chwili zechciała się wycofać. Spojrzała na niego z uznaniem. Podejrzewała, że większość mężczyzn w sytuacji, gdy udało im się doprowadzić kobietę do progu sypialni, darowałyby sobie podobne skrupuły. A więc nie myliła się co do niego - nie mógłby jej skrzywdzić.

- Jestem pewna. Jeśli to pozostanie między mną a tobą - powiedziała cicho. - Nie włączysz Trenta w nasze sprawy?

- Nie mam najmniejszego zamiaru.

- Więc chodź. - Weszła do tonącej w półmroku sypialni i rzuciła mu przez ramię spojrzenie pełne obietnic. - Chodź tu i kochaj mnie, Gage'u Faulknerze.

O niczym innym nie marzył. Starannie zamknął za sobą drzwi i ruszył w jej stronę, a ona wyszła mu naprzeciw. Gdy dzielił ich jeden krok, zamarli, wpatrzeni w siebie, jakby chcieli się nauczyć na pamięć rysów swoich twarzy i linii ciał, zanim wyciągną do siebie ręce niemal boleśnie spragnione dotyku. W następnej sekundzie rzucili się na siebie jak para szaleńców. Lauren oplótła szyję Gage'a ramionami. Jego niecierpliwe dłonie gorączkowo błędziły po jej plecach, objęły jej pośladki i przycisnęły jej biodra do twardech, męskich ud. Wspięła się na palce, z jękiem odnalazła wargami jego wargi i wpiła się w nie zachłannie. Smakował skupioną, zmysłową energię i zapowiedź szaleństwa.

Jego korzenny, męski zapach upajał, budził w niej siłę. I śmiałość. Gage był tak blisko niej... ale jeszcze nie dość blisko. Chciała czuć dotyk jego nagiej skóry. Chciała opleść jego biodra nogami, pozwolić, by jego gorąca, twarda męskość wypełniła jej wnętrze pulsujące oczekiwaniem.

Pozwolił, by zerwała z niego marynarkę, i w następnej chwili sięgnął do guzików jej koszuli. Zmagał się z nimi, podczas gdy ona drżącymi palcami rozwiązywała mu krawat. Kiedy jedwab ześliznął się na ziemię w ślad za marynarką, gwałtownie szarpnęła poły jego koszuli, jednym ruchem obnażając szeroki tors. Żadne z nich nie zwróciło uwagi na stukot spadających na podłogę guzików, bo w tym momencie on zerwał koszulę z jej ramion. Ręce im się splątały, kiedy sięgnęli do pasków od spodni. Ciszę przerywały tylko ich gorączkowe oddechy i szelest materiału.

- Pragnę cię, Gage. Pragnę - szeptała żarliwie Lauren, mocując się z zapięciem jego spodni.

- A ja ciebie - wychrypiał, zsuwając dżinsy w dół jej bioder.

Zrzuciła je razem z butami jednym zamaszystym kopnięciem. Kiedy została tylko w staniku i białych, bawełnianych majteczkach, Gage cofnął się o krok i objął jej smukłe ciało spojrzeniem pełnym żaru. Zdawało jej się, że potrafi wyczuć pieśczętę jego oczu na nagiej skórze - gorące dotknięcia, od których zakończenia nerwowe w jej ciele stawały w ogniu. Zrobiła krok w jego stronę i zatrzymała się nagle, czując chłodny, niespodziewany dreszcz tremy na plecach. Gage z pewnością był przyzwyczajony do towarzystwa bardziej efektownych kobiet. Ona co prawda dużo ćwiczyła i była w miarę zadowolona ze swojego ciała, ale... nie chodziła na solarium, nie powiększyła sobie biustu, a jej prosta, bawełniana bielizna nie wyglądała prowokująco, kosztownie ani luksusowo.

W jego wzroku nie było jednak nawet cienia krytyki, tylko czysty zachwyt. Poczuli się lekka, wyzwolona od lęku, a jej serce zaczęło śpiewać radosną, dziką pieśń. Wyciągnęła do niego ręce. Chciała go rozebrać do końca. Zobaczyć. Dotknąć.

Złapał ją za nadgarstki. Zabrakło jej tchu, kiedy delikatnie, ale stanowczo unieruchomił jej ręce za plecami. Nagle znalazła się w jego mocy, całkowicie bezbronna. Dziwne uczucie - nie była przyzwyczajona do sytuacji, w których musiała skapitulować, oddać inicjatywę. Niepokój spiął jej mięśnie, ale zaraz przemienił się w wibrujące, słod-

kie podekscytowanie. Nie mogła zrobić niczego innego, jak tylko smakować to uczucie, kiedy Gage pochylił się i pocałował jej szyję, tuż poniżej linii szczęki. Zadrżała pod dotknięciem jego gorących warg, lecz on nie przestał jej całować.

Niespiesznie sycił się gładkością jej skóry, delikatną smukłością szyi. Przesunął usta na jej krągłe ramię, a mocny, sprężysty mięsień zadrgał pod jej skórą. Była wspaniale zbudowana - szczupła, ale silna jak driada. Każda linia jej ciała emanowała śmiałym, naturalnym pięknem i witalną energią. Kiedy jego wargi dotarły do miejsca, gdzie tuż ponad koronką stanika wzbierały miękkie wzgórza jej piersi, zadygotała i z westchnieniem wygięła się, prosząc go bez słów, by posunął się dalej.

Poruszając się płynnie, jakby wykonywał figurę powolnego tańca, ujął jej nadgarstki jedną dłonią i obrócił ją tyłem do siebie. Oparła się plecami o jego szeroki, twarde tors, a ciepło jego ciała przeniknęło ją do głębi jak słońce w upalne południe. Dłoń Gage'a spoczęła na jej płaskim brzuchu. Spięła mięśnie, a jej piersi zafalowały, uniesione gwałtownym, urywanym oddechem. Powoli, nieznośnie powoli wsunął palec pod elastyczny materiał jej stanika. Jęknęła, kiedy odnalazł wrażliwą aureolę piersi i zaczął delikatnie pobudzać naprężony sutek. Zaszamotała się, chcąc uwolnić dłonie, odpłacić dotykem za dotyk.

Nie puścił jej. Kiedy wzmocnił pieszczotę, poczuła gwałtowny zawrót głowy, a w głębi jej ciała zaczęło tętnić sekretne, gorące źródło. Zręcznie, szybko uwolnił jej piersi ze stanika i obrócił ją znów ku sobie, półnagą i drżącą. Rozchyliła usta, czekając na pocałunek, ale on odsunął ją na odległość ramienia i schylił głowę. Pod gorącym muśnięciem jego oddechu wrażliwa skóra jej piersi zamrowiła w oczekiwaniu. Wreszcie zamknął usta na jej twardym sutku, posyłając potężne wyładowanie elektryczne przez wszystkie nerwy jej ciała.

Nie mogła czekać dłużej. Wyrwała ręce z jego chwytu i wplotła mu palce we włosy. Zadrżała znowu, czując, jak jego gorące dłonie obrysowują jej talię i łuk bioder, jak docierają do skraju majteczek. Bielizna zsunęła się w dół jej nóg jedwabistą pieszczotą, a jego palce powędrowały w górę po wewnętrznej, wrażliwej stronie jej ud. Napięcie narastało w niej nieubłaganą, potężną falą.

- Gage - jęknęła. - Proszę...

- Muszę poczuć, jak smakujesz. - Jego gardłowy głos był jak intymny dotyk.

Posadził ją na łóżku i pchnął lekko, a ona opadła na miękki materac, znowu czując chłodny dreszcz tremy. Leżała przed nim naga, z biodrami na skraju materaca, wystawiona na pełną żaru pieśczoć jego oczu, a on górował nad nią, wysoki, męski i niemal groźny. Kiedy uklęknął przed nią i rozchylił jej uda, wczepiła się palcami w koronkową narzutę.

Wstrzymała oddech, gdy dotknął wargami wilgotnych płatków jej kobiecości, odnajdując najczulsze miejsce. Zaciśnęła powieki. Świat zniknął, jej świadomość skoncentrowała się na tym jednym punkcie, gdzie gorąca, coraz intensywniejsza pieśczoć jego języka wzniecała płomień, który ogarniał ją całą.

Kiedy do języka dołączyły palce i rozchyliły nabrzmiałe płatki jej kwiatu, wnikając głęboko w jej wnętrze, jej ciało zamieniło się w słup ognia. Krzyknęła cicho, zaskoczona, bezradna wobec rozkoszy, której intensywność przerastała pojmowanie jej zmysłów. W odpowiedzi wzmocnił pieśczoć, bezbłędnie odnajdując rytm, prowadząc ją poprzez kolejne wybuchy spełnienia. Dopiero kiedy zwiotczała, a głowa opadła jej na bok, uniósł twarz.

- Cudownie smakujesz - wymruczał.

Patrzyła, niezdolna się poruszyć, jak pozbywa się spodni, skarpetek i butów. Kiedy położył się obok niej na łóżku, zauważyła, że trzyma w dłoni małą paczuszkę. A więc zaplanował wszystko już wcześniej, pomyślała przelotnie. Jednak jedno spojrzenie na niego wystarczyło, żeby przestała myśleć o czymkolwiek innym, poza jego bliskością. Tak dawno nie była z mężczyzną, tak długo czekała na tego właściwego... że teraz nie zamierzała się spieszyć. Przeturlała się na bok i uniosła na kolana. Położyła dłonie na jego piersi i pchnęła go na poduszki. Nie zaprotestował. Pozwolił jej przejąć inicjatywę, a w jego oczach błysnęło wyzwanie. Podjęła je, pochylając się nad nim, osłaniając go złotą burzą włosów, muskając jego twarz ustami, a potem koniuszkami piersi. Przesunęła się niżej, znacząc szlakiem pocałunków jego szeroki tors i twardy brzuch. Syciła się ciężkim, korzennym zapachem i słonawym, wytrawnym smakiem jego skóry, rozkoszowała się sprężystością mięśni. Sięgnęła do gumki jego bokserów i zsunęła je z niego.

Zachwyty spływały jej dreszczem po plecach. Był... wspaniały. Opadła na pięty, wpatrzona w niego, i powoli położyła dłoń na jego lędźwiach. Gage jęknął chrapliwie, a ona poczuła się tak, jakby trzymała stery potężnego samolotu. Jego moc była w jej rękach. Upojona tą świadomością, powiodła opuszkami palców po jego imponującej długości, ciesząc się jedwabistym dotykiem i gorącą, stalową twardością. A potem schyliła głowę i objęła wargami wrażliwy koniuszek. Poczuła, jak Gage spina wszystkie mięśnie, i zuchwale pogłębiła pieściznę, przyjmując w usta jego pulsującą, naprężoną męskość. Omiotła leciutkimi muśnięciami języka jej czubek, a wtedy poderwał się z głuchym warknięciem i zacisnął dłonie na jej biodrach. W następnej chwili znalazła się pod nim, przygnieciona do miękkiego materaca ciężarem jego ciała.

Kiedy błyskawicznie się zabezpieczył, zacisnęła zęby, spodziewając się, że wedrze się w nią gwałtownie, ale on zastygł w bezruchu. Zniecierpliwiona, wbiła paznokcie w jego plecy i mocno oplotła jego biodra nogami. Poczuła, jak dotyka koniuszkiem członka jej pulsującej kobiecości, jak kładzie go na niej niczym gorącą pieczęć, przesuwając się, delikatnie drażniąc ją tam, gdzie była najwrażliwsza na dotyk. Wstrzymywał się tak długo, aż z jękiem wygięła się, naglącymi ruchami bioder domagając się, by ją posiadał. Odpowiedział wreszcie na jej niemy zew, wchodząc w nią głęboko, powolnym, płynnym pchnięciem. Każdy nerw jej ciała zawibrował ekstazą, kiedy wypełnił ją swoją skupioną mocą.

- Jesteś cudowna - wychrypiał.

- To ty... jesteś... niesamowity - wyszeptała bez tchu.

Wycofał się równie powoli, jak w nią wszedł. Wypchnęła biodra w górę, a jej nogi zwały się wokół niego jak kłamra. Pociągnęła go ku sobie zachłannie, niecierpliwie i wbiła zęby w jego ramię. Jej gwałtowna pieścizna wyzwoliła w nim wstrzymywaną dotąd pasję. Dźgnął ją mocno, i jeszcze raz, i jeszcze. Narzucił tempo, coraz szybsze, coraz bardziej szalone.

- Tak! Tak! - wykrzyczała, chwytając się wezłowania łóżka, podejmując rytm.

Szybko. Mocno. Tego właśnie potrzebowała. Szaleństwo narastało w nich z każdym pchnięciem, potęgowało się, brało ich we władanie. Aż wreszcie rzucili się w przepaść spełnienia, a rozkosz szarpnęła ich nagle jak otwierająca się czasza spadochronu.

Spleceni ze sobą, półprzytomni, powoli opadali na ziemię.

Lauren nie wiedziała, ile czasu leżała jak nieprzytomna, z trudem łapiąc oddech, zanim odzyskała czucie w członkach, a świat wokół wynurzył się ze zmysłowej mgły. Gage zsunął się z niej, ale jego głowa wciąż spoczywała bezwładnie na jej piersiach. Objęła go ramionami i wtuliła twarz w jego włosy. Chłonęła błogie uczucie bliskości, wsłuchując się w zgodny rytm ich ciężkich oddechów. Gdyby mogła, zatrzymałaby teraz czas - kiedy tak leżeli razem, zjednoczeni rozkosznym wyczerpaniem. Wiedziała, że rzeczywistość zbyt szybko upomni się o swoje prawa i iluzja harmonii pryśnie. Byli sobie obcy.

Dlaczego to akurat Gage rozwiął jej dziewczęce złudzenia? Dotąd zawsze myślała, że tylko miłość i głębokie zaangażowanie mogą sprawić, by seks stał się magicznym, wszechogarniającym doświadczeniem. Tymczasem... mężczyzna, który odkrył przed nią głębię namiętności, jakiej istnienia nawet nie podejrzewała, w żaden sposób nie był jej bliski. Przypominali dwa statki, mijające się nocą na oceanie. Nie była w nim zakochana i ani przez chwilę nie rozważała związania się z nim na stałe. Zbyt dobrze wiedziała, że taka możliwość nie istnieje.

Gage zaciągnął się jeszcze raz zmysłowym zapachem ich rozgrzanych ciał i szalonego seksu, a potem przekręcił na plecy, porzucając nieopisanie rozkoszną miękkość piersi Lauren.

Gdzieś w jego wnętrzu nieubłagane narastało poczucie, że popełnił błąd. Lauren była przyrodnią siostrą jego przyjaciela i nie powinien był jej tknąć. Ale przy niej działało się z nim coś, czego nie umiał wyjaśnić. Była dla niego powietrzem, światłem, wolnością. Nic innego się nie liczyło.

Kiedy jego dłoń musnęła jej rękę, poczuł nagłą chęć, żeby spleść palce z jej palcami. Zdusił to pragnienie, zdziwiony, zaniepokojony wręcz jego siłą. Nie był typem faceta, który potrzebuje, by trzymać go za rączkę.

Skupił wzrok na suficie, starając się wzbudzić w sobie żal i postanowienie poprawy. Bezskutecznie. Może kiedy jego oddech odzyska normalny rytm... kiedy będzie w stanie się poruszyć... znajdzie dość siły na samokrytykę.

Przekręcił głowę, by znowu popatrzeć na Lauren. Przeciągnęła się rozkosznie jak kotka, a jej strome piersi wyprężyły się, gdy napięła mięśnie ramion. Gage nawet nie

próbował już wzbudzić w sobie wyrzutów sumienia. Po prostu cieszył oczy widokiem jej jasnozłotego ciała, głębokiego wcięcia talii, hojnego łuku bioder i małej kępki kędziorków w złączeniu jędrnych ud. Miała cudownie długie nogi, smukłe i subtelnie umięśnione.

Jej ciężkie powieki uniosły się powoli, a spod gęstych rzęs błysnęły złociste oczy.

- To było... - wymruczała, z trudem poruszając wargami obrzmiałymi od pocałunków.

- ...niesamowite - dokończył z przekonaniem.

Nie pamiętał, by kiedykolwiek doświadczył czegoś tak intensywnego i magicznego, jak te chwile uniesienia w jej ramionach.

Uśmiech zaigrał na ustach Lauren, ale zdusiła go, przygryzając wargę.

- Powinniśmy jak najszybciej zapomnieć, że to się w ogóle zdarzyło. - Zdecydowanie sięgnęła po róg białej, koronkowej narzuty i okryła się nią. Chciała skromnie zasłonić swoją nagość i może osiągnęłaby efekt, gdyby tkanina nie była ażurowa. Gage'owi zaschło w gardle, a jego ciało gwałtownie wróciło w stan gotowości jak wstrząśnięte defibrylatorem. Tym bardziej frustrujące były jej słowa.

- Spróbuj zapomnieć - wymruczał gardłowo, prowokująco.

- Słucham? - zdumiała się.

Przekręcił się ku niej, tak że tylko milimetry dzieliły ich ciała.

- Wyzywam cię, byś spróbowała wyrzucić z pamięci to, co przed chwilą przeżyliśmy.

Jej policzki zaróżowiły się wyraźnie.

- Posłuchaj, Gage. Nie będzie nam łatwo ukryć przed Trentem, że połączyło nas... intymne przeżycie. Mój przyrodni brat to patentowany dupek, ale jest inteligentny i bystry. A ja nie mogę sobie pozwolić na to, by wylał mnie z pracy...

Niech to cholera. Gage nigdy nie okłamywał przyjaciela i nie miał zamiaru zacząć teraz.

- Jak długo jeszcze zamierzasz pracować dla Hightower Aviation? - zapytał, marszcząc brwi.

Nie to, żeby planował poważny związek z Lauren Lynch. Po prostu... nie był jeszcze gotów o niej zapomnieć. Dopóki nie odkryje jej tajemnic, dopóki nie zrozumie, dlaczego sam jej widok wzbudzał w nim żądze potężną jak zimowa nawałnica, nie mógł pozwolić jej odejść.

- Nie wiem... - zawahała się. - Nie wiem, kiedy będę mogła odejść, bo...

- Bo co? - ponaglił.

- Moja matka ma coś, czego potrzebuję.

- Pieniądze? - rzucił ostro, czując ukłucie rozczarowania.

Nie chciał teraz myśleć o podejrzeniach Trenta wobec Lauren.

Drgnęła, jakby ją spoliczkował. Spojrzała mu w oczy zimno, wyzywająco.

- Powiedziałam ci już, że nie chcę pieniędzy Hightowerów - wycodziła. - Nie wzięłabym od nich ani grosza, nawet gdyby podawali mi swój majątek na srebrnej tacy. Jeżeli nadal mi nie wierzysz, to twoja sprawa. Ja nie będę więcej strześcić sobie języka.

Zobaczył iskry gniewu w jej oczach, tak samo prawdziwe jak niedawna rozkosz. Nie miał wątpliwości, że mówi prawdę.

Im lepiej poznawał Lauren, tym silniej był przekonany, że Trent myli się co do niej.

- Wierzę ci - powiedział cicho, serdecznie.

Wiedział już, że nie musi bronić Trenta przed zakusami Lauren. Od tej chwili postanowił zrobić wszystko, żeby udowodnić przyjacielowi, że jego przyrodnia siostra jest niewinna.

Lauren oparła brodę na dłoniach i posłała siedzącemu naprzeciwko niej Gage'owi roześmiane, szczęśliwe spojrzenie. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak lekko i beztrosko. Po części sprawił to dzień spędzony nad oceanem, leniwe włóczenie się po deptakach, wystawianie twarzy do słońca i wdychanie rześkiego, morskiego powietrza, po części bezwstydnie smakowity posiłek, którym właśnie się raczyli, ale głównie - Gage Faulkner. Zniknął gdzieś skupiony, poważny, prawie srogi grymas jego ust. Zniknęła uporczywa potrzeba kontrolowania wszystkiego wokół, odciskająca się na jego czole głębokimi brzdami. Zrelaksowany, roześmiany, wysmagany ciepłym wiatrem wyglądał na bardzo zadowolonego z życia i okazał się świetnym kompanem. Lauren nie mogła

uwierzyć, że to ten sam człowiek, którego przed dwoma tygodniami spotkała po raz pierwszy w gabinecie Trenta i uznała za odpychającego sztywniaka. Teraz była nim totalnie, z kretesem zauroczona.

Gage odłożył na talerz skorupkę wielkiej różowej krewetki i spojrzał na Lauren spod grzywy ciemnych włosów zawadiacko i zupełnie nieelegancko potarganych wiatrem.

- Byłem w San Francisco chyba ze dwadzieścia razy i na biznesowe kolacje zawsze chadzałem na nadmorski bulwar. Dziwne, że nigdy nawet nie zauważyłem tej knajpki.

Lauren rozejrzała się po skromnym wnętrzu wyłożonym surowymi, jakby wyłowionymi z morza deskami. Jedyłą ozdobę stanowiły tu rybackie sieci pełne wielkich muszli, w kuchni uwijał się brodaty właściciel lokalu i jego żona, a trzy córki obsługiwały gości. Fakt, że ani Gage, ani jego nawykli do ostentacyjnego luksusu kontrahenci nie zwrócili uwagi na skromny lokal, nie wydawał jej się ani trochę dziwny.

- Może dlatego, że wielkie restauracje o wiele bardziej rzucają się w oczy. - Uśmiechnęła się, zgrabnie rozchylając skorupkę małża i zanurzając delikatne mięso w esencjonalnym sosie koktajlowym.

- Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby zapytać miejscowych, który lokal podaje najlepsze owoce morza - wyznał Gage, wyciskając cytrynę na ogonek kolejnej krewetki. - Miałaś naprawdę świetny pomysł. To jest najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek jadłem, słowo skauta. - Zasalutował jej kieliszkiem białego wina.

Lauren w odpowiedzi uniosła swój kieliszek i spojrzała przez okno, za którym rozciągał się widok na kolorowy, pełen życia rybacki port.

- Tata mnie nauczył, żeby chodzić tam, gdzie jadają mieszkańcy, a nie do wystawnych lokali, mających przyciągnąć turystów. Tradycyjne, rodzinne knajpki stawiają na smak potraw, zamiast tracić energię na marketing.

- Właśnie się o tym przekonuję. - Roześmiał się i nagle spoważniał.

Podobnie jak podczas przejażdżki motocyklem parę dni temu sprawiał wrażenie zaskoczonego własnym dobrym nastrojem. Zafrapowało ją to.

- Gage, co robisz, kiedy masz wolny czas? - spytała, choć przeczuwała, co odpowie.

- Ja... właściwie nie miewam wolnego czasu - powiedział szybko, potwierdzając jej diagnozę.

- Nie pracujesz chyba dwadzieścia cztery godziny na dobę? - drażyła.

- Zdarza się, że prawie tyle. Rozwijam firmę, a to wymaga stuprocentowego zaangażowania. - W jego głosie pojawił się dobrze jej znany, sztywny ton.

- Jaki jest sens zarabiania na życie, skoro nie ma się życia? - Zmrużyła oczy.

- Świadomość, że mam za co przeżyć kolejny miesiąc, potrafi nadać wiele sensu temu, co robię. - Uśmiechnął się niewesoło. - Idealizm jeszcze nikomu nie zapewnił dachu nad głową ani miski strawy. W życiu nie wystarczy gonić za marzeniami.

- Ale każdy zasługuje na to, żeby mieć marzenia i je spełniać - zaprotestowała żarliwie.

- Zgadzam się z tobą. - Przykrył ręką jej dłoń. Nie musiał dodawać nic więcej, jego pociemniałe oczy powiedziały jej, o czym teraz marzy. Wypuściła widelec z nagle drżących palców, a jej usta rozchyliły się, odpowiadając bez słów, że i ona marzy o tym samym.

Nagle zaczęło im się bardzo spieszyć. W milczeniu, prowadząc gorący dialog spojrzeń, podnieśli się z miejsc. Po chwili byli już na ulicy i ruszyli w stronę pensjonatu.

Lauren miała wrażenie, że ziemia tańczy jej pod nogami. Niecierpliwość buzowała w niej, doprowadzając krew do wrzenia. Przez półtora roku celibat nie był dla niej problemem, a teraz zdawało jej się, że zginie, jeśli zaraz, natychmiast nie znajdzie się z Gage'em w łóżku. Była głodna, strasznie głodna jego dotyku, smaku, ciężaru gorącego ciała... Właściwie miałyby chęć przebiec sprintem te trzy kilometry, które dzieliły ich od przytulnej sypialni u Esmé.

Popatrzyła spod rzęs na idącego obok niej mężczyznę. On też wyglądał tak, jakby miał ochotę puścić się pędem po nadbrzeżnym deptaku.

Ktoś powinien nauczyć go czerpać radość z życia, póki jeszcze nie jest za późno, pomyślała nagle, i już wiedziała, kto to zrobi. Była idealną kandydatką na nauczycielkę. Miała szczęście być wychowaną przez człowieka, który nauczył ją, że w życiu nie chodzi tylko o to, żeby dotrzeć do celu, lecz równie ważna jest sama podróż - im piękniejsza i bardziej malownicza, tym lepiej. Nikt nie mógł być szczęśliwy, żyjąc tylko dla pracy.

Gdy przyglądała się Gage'owi, który mimo wielomilionowego majątku był nowicjuszem, jeśli chodziło o korzystanie z uroków życia, nie mogła nie przyznać ojcu racji.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Saldo kredytu: 0.00

Lauren zmarszczyła brwi i jeszcze raz sprawdziła wpisane do komputera dane. Nie pomyliła się w adresie strony internetowej banku, numer konta był właściwy. Tylko suma, która pozostała do spłacenia, zupełnie się nie zgadzała - Lauren była winna bankowi jeszcze prawie dwieście tysięcy dolarów i właśnie szykowała się do wysłania przelewem kolejnej, miesięcznej raty kredytu.

Co oznaczało to zero? Błąd w systemie?

Zaniepokojona, wyjęła telefon z torebki i wystukała numer obsługi klienta. W oczekiwaniu na połączenie, wysłuchując absurdalnie wesołej melodyjki, wyjrzała przez okno samolotu. Na lotnisku ruch był o tej porze niewielki. Gage z samego rana poszedł na spotkanie z zarządem firmy, a ona przyjechała wprost na lotnisko, żeby przygotować samolot do powrotnego lotu do Knoxville. Westchnęła cicho. Nie było jej łatwo zostawić za sobą tego miasta, w którym spędziła dwie najcudowniejsze noce swojego życia. W Knoxville, pod okiem Trenta, jej i Gage'owi trudno będzie kraść chwile dla siebie... o ile, oczywiście, w ogóle się na to zdecydują.

- Dzień dobry. W czym mogę pomóc? - Dziarski głos konsultantki przerwał jej rozmyślenia.

- Chciałabym przelać ratę kredytu, ale mam wrażenie, że na stronie internetowej banku jest jakaś awaria. Pojawia się informacja, że saldo kredytu wynosi zero. - Lauren podyktowała swoje dane.

- Proszę chwileczkę poczekać. - W słuchawce rozległ się stukot klawiszy. - Zgadza się, proszę pani. Saldo wynosi zero.

- Niemożliwe - upierała się Lauren. - Jestem jeszcze winna bankowi... mnóstwo pieniędzy.

- Ależ nie, proszę pani. - Głos asystentki w dalszym ciągu był profesjonalnie, uprzejmie obojętny. - Całość należności została wpłacona na nasze konto wczoraj. W ciągu pięciu dni roboczych bank przyśle pani pełną dokumentację dotyczącą historii rachunku. Czy ma pani jeszcze jakieś pytania, panno Lynch?

- Jak to...? Przecież ja nie miałam takich pieniędzy... - wydukała Lauren bezradnie i nagle zrozumienie spłynęło na nią jak lodowaty prysznic.

Wiedziała, kto miał takie pieniądze. Kto spłacił jej kredyt.

- Dziękuję pani - powiedziała szybko i rozłączyła się. Ręka jej drżała, kiedy wybierała numer komórki Jacqui.

- Witaj, moja droga. - Matka odebrała po dziewięciu sygnałach, w chwili, kiedy Lauren nabrała pewności, że jej telefon zostanie zignorowany. - Co słyhać?

Chłodny, idealnie spokojny ton Jacqui zdumiał Lauren. Jak matka mogła zachowywać się jakby nigdy nic, skoro właśnie przelała na jej konto sumę przyprawiającą o zawrót głowy? W dodatku zrobiła to pomimo jej licznych zapewnień, że nie potrzebuje i nie przyjmie pieniędzy Hightowerów.

- Jacqui, czy zapłaciłaś mój kredyt? - spytała szybko, starając się opanować drżenie głosu.

W słuchawce zaległa cisza. I trwała, a sekundy mijały wolno jak wieki.

- Chciałam pomóc... - wyszemrała wreszcie Jacqui.

Frustracja zakotłowała się w piersi Lauren, pozbawiając ją tchu. Zacisnęła dłoń na telefonie tak mocno, że zatrzeszczały jej stawy.

- Jacqui, rozmawialiśmy już nie raz o pieniądzach - odezwała się cicho, prawie szeptem. Wiedziała, że jeśli pozwoli sobie podnieść głos, zacznie krzyczeć. - Mówiłam ci, że ich nie chcę. Jeśli czujesz potrzebę świadczenia dobroczynności, znajdź inny obiekt.

- Ale, kochanie...

- Nie jestem twoim kochaniem! - Gorycz, którą przez lata ukrywała na dnie serca, wybiła nagle na powierzchnię, wykrzywiła jej usta i zatrzała bólem słowa. - Oddałaś mnie zaraz po urodzeniu. Zachowaj pieniądze dla twoich prawdziwych dzieci, Jacqui. Dla tych, których się nie wyparłaś.

- Lauren. - Głos matki drżał. - Jesteś moim dzieckiem tak samo jak Trent, Brent, Beth i Nicole. Ale oni mają wszystko, o czym mogą tylko zamarzyć, a ty walczysz, żeby związać koniec z końcem. Jak mogłabym ci nie pomóc?

- Ojciec nauczył mnie, że jeśli czegoś w życiu pragnę, muszę na to zapracować, a nie dopraszać się jałmużny - przerwała jej. Słowa matki wywoływały ból silniejszy, niż potrafiła znieść. - Kiedy tylko wrócę, wezmę kolejny kredyt i oddam ci całą sumę co do grosza.

- Nie rób tego. Nie przyjmę od ciebie pieniędzy.

- Do licha, Jacqui. - Lauren podniosła się z fotela i zaczęła niespokojną wędrówkę po ciasnym wnętrzu kabiny. - Ile razy jeszcze będziemy przerabiać ten temat? Straciłaś szansę, żeby być moją matką.

- Wiem - powiedziała Jacqui cicho. Jej zazwyczaj starannie wymodulowany głos był pęknięty, jakby przegrywała walkę ze wzbierającym w gardle szlochem. - I nie ma dnia, w którym nie żałowałabym, że nie było mnie przy tobie...

Serce Lauren ścisnęło się z bólu. Czy matka nie rozumiała, że żadne słowa nie wystarczą, żeby uleczyć ranę w jej sercu? Zwłaszcza słowa wypowiedziane o wiele lat za późno.

- Jest jedna rzecz, którą mogłabyś mi dać - powiedziała gwałtownie. Myśl, że matka wciąż ukrywa przed nią okoliczności śmierci ojca, wywołała frustrację, którą aż za dobrze było słyszeć w tonie jej głosu. - Świetnie wiesz, o czym mówię. Ty jednak tego akurat mi odmawiasz. Ale ostrzegam cię, że jeżeli nie uzyskam tego od ciebie, wyjadę i nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

„Ostrzegam cię, że jeżeli nie uzyskam tego od ciebie, wyjadę i nigdy więcej mnie nie zobaczysz”.

Gage właśnie miał wejść po trapie na pokład samolotu, kiedy dobiegły go słowa wypowiedziane przez Lauren. Znieruchomiał. Jeszcze nigdy nie słyszał tak ogromnego ładunku emocji w jej głosie. Miał wrażenie, że przemawia przez nią złość, wręcz wrogość, a w dosłyszonym zdaniu czai się groźba. Z kim rozmawiała? I dlaczego poczuł się nagle osamotniony i przybity, kiedy powiedziała, że wyjedzie? Mieli co prawda za sobą dwie noce niezwykłego seksu, ale przecież nie planowali związku. Lauren nie musiała

konsultować z nim swoich planów. Nawet sobie tego nie życzył. Od czasu rozwodu wystrzegął się zaangażowania emocjonalnego jak morowej zarazy.

A jednak... kiedy wykrzyczała prawie, że wyjedzie, poczuł się tak, jakby to jemu groziła. W głowie Gage'a Faulknera rozdzwonił się alarm. Choć tego nie planował, Lauren stała się ważną częścią jego życia. Tak ważną, że jego wypracowana samokontrola była poważnie zagrożona.

Znał Lauren Lynch zaledwie dwa tygodnie, ale już wiedział z całą pewnością, że nigdy żadna kobieta nie zachwyci go bardziej - bo żadna nie marszczyła brwi tak jak Lauren, kiedy pochylała się, stuprocentowo skoncentrowana, nad sterami samolotu. Żadna nie jeździła na motocyklu jak sam diabeł i nie potrafiła okazać anielskiej cierpliwości, przekopując się przez stosy dokumentów. Podziwiał jej ostry jak brzytwa, analityczny umysł i uwielbiał podpatrywać ją przy pracy. A dziecięcy entuzjazm, z jakim oddawała się zabawie, zachwycił go.

Wszedł na pokład samolotu i zobaczył, jak Lauren gwałtownym, gniewnym gestem chowa telefon do torebki. Rysy twarzy miała ściągnięte, usta jej drżały.

- Coś się stało? - spytał z troską.

- Nic ważnego. - Odwróciła wzrok, ale zauważył, że oczy ma zgaszone, pozbawione blasku, który tak uwielbiał. - Jesteśmy gotowi do startu - powiedziała suchym, rzeczowym tonem, który dobrze zapamiętał z ich pierwszego wspólnego lotu. - Możesz usiąść i zapiąć pas.

Nie pytając o zgodę, poszedł za nią do kokpitu i bez słowa zajął wolny fotel. Lauren nie zaprotestowała. Zagubiona w myślach, zamknięta w sobie, zdawała się go nie dostrzegać. Chciał coś powiedzieć, ale nie znalazł słów. Patrzył, jak w skupieniu sprawdza ustawienia przyrządów, przygryzając lekko dolną wargę. Zawsze tak robiła, kiedy chciała ukryć niepewność... Poczuł, że coś ściska go w piersi. Odetchnął głęboko raz i drugi, ale dziwne uczucie nie minęło.

Co się z nim, u licha ciężkiego, dzieje? Jest chory?

Spojrzał znów na Lauren i nagle zrozumiał, co mu dolega. Był w niej beznadziejnie, śmiertelnie zakochany.

Ból chwycił Lauren za gardło dławiącym uściskiem i zatopił pazury w jej wnętrznościach. Z głuchym jękiem zgięła się wpół i opadła ciężko na sofę.

Zadrukowane kartki wysunęły się z nagle zdrętwiałych palców, spłynęły na podłogę i rozsypały się po jej malutkim pokoju. Nie schyliła się po nie. Przeczytała tekst tylko raz, ale miała wrażenie, że każde słowo zostało wyryte w żywej tkance jej serca. Specjalistyczny raport dotyczący katastrofy samolotu, w której zgiął Kirk Lynch, stwierdzał z całą pewnością, że śmierć pilota nie była samobójstwem. Wypadek nastąpił w wyniku wadliwego działania konstrukcji skrzydeł samolotu.

Samolotu, który zbudowała razem z ojcem.

Ukryła twarz w dłoniach, a potem gwałtownym gestem wplotła palce we włosy.

Tyle razy rozbierali i składali z powrotem ten samolot, dopracowywali każdą, najmniejszą część... Jak mogła nie zauważyć, że w konstrukcji jest usterka? Jak mógł nie zauważyć tego tak doświadczony lotnik jak Kirk?

Może gdyby ojciec pozwolił jej wykonać choć jeden próbny lot, zauważyłaby, że coś jest nie tak? Miała prawdziwy szósty zmysł, jeśli chodziło o wychwytywanie szczegółów, jak zmniejszona zwrotność, minimalna nieregularność w pracy silnika czy niepokojące drgania skrzydeł. Ale tata, z dziwną u niego stanowczością, zabronił jej latać swoją ukochaną, eksperymentalną zabawką.

Poczucie absurdalnej straty i okrutnej niesprawiedliwości losu zaatakowało ją ze zdwojoną siłą. Myśl, że możliwość uratowania ojca miała prawdopodobnie w zasięgu ręki, była nie do zniesienia. Musiała z kimś porozmawiać, wyzalić się. Może gdyby mogła spojrzeć na całą sytuację oczami kogoś z zewnątrz, kogoś, kto był mądry, obiektywny i życzliwy...

Gage. To do niego chciała teraz pobiec, wtulić się w jego ramiona, ukryć twarz na jego piersi. On wiedziałby, co jej powiedzieć, jak ją pocieszyć. Nie mogła jednak tego zrobić. Nawet nie знаła jego adresu. Odkąd parę godzin wcześniej rozstali się na lotnisku, Gage nie odezwał się do niej. Widocznie miał inne plany na ten wieczór.

Nie, nie będzie szukać towarzystwa Gage'a. Ma co innego do zrobienia - musi powiedzieć matce o wyniku ekspertyzy. Jej osobisty żal do Jacqui nie ma teraz żadnego

znaczenia. Ojciec kochał Jacqueline Hightower i choćby z tego powodu miała prawo wiedzieć, co napisano w raporcie o jego śmiertelnym wypadku.

Lauren zgarnęła ze stolika kluczyki i wybiegła na dwór. Mroźne powietrze jesiennej nocy przeniknęło ją na wskroś, ale nawet nie zauważyła, że nie wzięła płaszcza. Drżąc z zimna, wsiadła do samochodu, przekręciła kluczyk w stacyjce i ruszyła z piśkiem opon.

- Dobry wieczór, panno Lynch. - Fritz, w swoim odwiecznym, sztywnym stroju, skłonił się lekko na jej widok.

- Wiem, że jest późno, a ja przyszedłam bez zapowiedzi - powiedziała szybko. - Ale czy mogłabym...

- Pani jest w salonie. Śmiało, panienko. - Na pełnym godności obliczu starego lokaja pojawił się cień uśmiechu.

- Czy Trent jest w domu? - odważyła się zapytać.

- Młody pan jeszcze nie wrócił - usłyszała w odpowiedzi i stłumiła westchnienie ulgi.

- Dziękuję, Fritz.

Matka siedziała w swoim ulubionym fotelu przy kominku. Tego wieczoru miała na sobie wąską, długą do kostek sukienkę z kaszmiru. Piaskowy kolor stroju podkreślał jej alabastrową cerę i złociste oczy.

- Lauren, cóż za niespodzianka. - Jacqui majestatycznie podniosła się z fotela.

- Przepraszam, że nie zadzwoniłam.

- Nie musiałaś. Zawsze możesz przyjść do mnie, przecież wiesz.

Miłe słowa, pomyślała Lauren z nagłym żalem. Szkoda, że nie usłyszała ich od Jacqui jakieś dwadzieścia lat wcześniej.

- Dzisiaj... dostałam raport ekspertów określający przyczyny katastrofy samolotu ojca - wyrecytowała szybko, głusząc w sobie ból. Chciała mieć już tę rozmowę za sobą. - Śmierć taty nie była samobójstwem.

- Mówiłam ci, że Kirk nie targnął się na własne życie. - Jacqui zacisnęła usta.

- Ale nigdy mi nie powiedziałaś, dlaczego tata natychmiast po twoim wyjeździe wsiadł do samolotu. Nie wpisał nic do księgi startów, nikogo nie poinformował, dokąd leci ani na jak długo. Nigdy tak nie robił, więc domyślałam się, że musiał być wzburzony.

- Co jest napisane w raporcie? - Jacqui splotła palce tak mocno, że pobieleły.

- Stwierdzono, że konstrukcja samolotu była wadliwa. Przy przekroczeniu krytycznego kąta natarcia skrzydła samolot stracił sterowność. Wszystko było w porządku, dopóki tata nie próbował robić manewrów przy maksymalnej prędkości. Jedno ze skrzydeł wpadło w zbyt silne drgania i wciągnęło samolot w korkociąg... Tacie nie udało się wyrównać lotu i uderzył w ziemię. Zginął na miejscu.

Jacqui ukryła twarz w dłoniach. Jej szczupłe ramiona zadrgały, wstrząsane bezgłośnym szlochem. Lauren zamrugła, czując, że pod powiekami wzbierają jej zbyt długo tamowane, piekące łzy. „Piloci nie płaczą” - usłyszała w głowie wyraźny głos ojca. Zawsze jej to powtarzał, kiedy była małą dziewczynką i rozpaczała z jakiegoś powodu. „Piloci nie płaczą. Piloci analizują fakty i wyciągają wnioski”.

- Powinnałam się była zorientować, że skrzydła są wadliwe i nie wytrzymają przeciągnięcia - powiedziała gorzko. - Gdybym tylko była bardziej uważna... tata by nie zginął.

Jacqui wyprostowała się gwałtownie. Usta jej drżały, a twarz w jednej chwili zrobiła się kredowobiała.

- Nie waż się myśleć, że śmierć ojca jest twoją winą - powiedziała ostro. W jej pełnym napięcia głosie była determinacja. - Tylko ja mogłam go powstrzymać. I nie zrobiłam tego.

Lauren, wpatrzona w matkę, postąpiła krok w tył i ciężko usiadła na jednym z foteli.

- O czym ty mówisz? - spytała słabo.

- Gdybym nie dała mu tych pieniędzy... - zaczęła Jacqueline i urwała.

Po jej bladych policzkach popłynęły łzy. Szloch zdławił jej słowa.

- Jakich pieniędzy? - Lauren poczuła dreszcz na plecach.

- Kirk nic ci nie powiedział? - Matka spojrzała na nią bezradnie oczami zaczerwienionymi od płaczu.

- O czym miał mi powiedzieć?

- Wszystko zaczęło się przed twoimi osiemnastymi urodzinami. - Jacqui usiadła sztywno i położyła dłonie na kolanach. - Kirk zaczął pracować nad planami nowego, eksperymentalnego modelu samolotu. Miał być wyjątkowo lekki i zwrotny, tak by umożliwiać wykonywanie bardzo skomplikowanych, precyzyjnych akrobacji. Kirk był bardzo podekscytowany. Chciał opatentować konstrukcję, a potem sprzedać prawa do patentu. Miało mu to przynieść wielkie pieniądze.

Lauren słuchała w napięciu. Tak jak sądziła, między jej rodzicami coś się wydarzyło. Przez dwa długie miesiące myślała, że poznanie prawdy przyniesie jej ulgę. Teraz zaczynała się obawiać, że będzie odwrotnie.

- Żeby kontynuować pracę i zmontować pierwszy, próbny egzemplarz, Kirk potrzebował kapitału - mówiła dalej Jacqui. - Poprosił mnie o pożyczkę na poczet przyszłych zysków ze sprzedaży patentu. Powiedziałam, że sfinansuję wykonanie samolotu, ale postawiłam jeden warunek. Chciałam wreszcie móc ci powiedzieć, że jesteś moją córką. Kirk odmówił. Uważał, że będzie lepiej dla ciebie, jeśli nigdy się nie dowiesz... ale ja nie mogłam dłużej ukrywać przed tobą prawdy. Nalegałam tak długo, aż ustąpił. Zaraz po twoich osiemnastych urodzinach zaczęłam finansować montaż samolotu. Prace ciągnęły się ładnych parę lat, a kiedy prototyp był gotów, twój ojciec odkrył, że w konstrukcji skrzydeł jest usterka. Na jego prośbę opłaciłam kilka niezależnych ekspertyz inżynierskich, ale werdykt był jednoznaczny: usterki nie da się naprawić, nie pogarszając parametrów samolotu. Twój ojciec nie chciał o tym słyszeć. Ten nowatorski, ultralekki samolot to było jego marzenie. Wierzył, że jak będzie wystarczająco długo szukał, znajdzie sposób, żeby obejść problem. Namawiał mnie, żebym dalej finansowała jego prace. Wiedziałam, że nie powinnam, ale zgodziłam się. Nie miałam serca pogrzebać jego nadziei.

Jacqui przerwała, naląła sobie wody ze stojącej na niskim stoliku kryształowej karyfki. Piła chciwie, jakby w nadziei, że woda zmyje gorycz wspomnień.

- Tamtego fatalnego dnia... doszło między mną a twoim ojcem do ostrej wymiany zdań. Błagałam Kirka, żeby wreszcie dał sobie spokój z tym samolotem. Oblatywał go z uporem maniaka, lekceważąc niebezpieczeństwo. Miałam przeczucie, że to się może źle

skończyć. Ale sama wiesz, jaki był twój ojciec. Nie potrafił się przyznać do porażki. Wykrzyczał, że nie stać go na to, by porzucić tak zaawansowany projekt. Był zdecydowany prowadzić dalsze eksperymenty. Wciąż liczył na to, że sprzeda patent i spłaci dług, choć mówiłam mu, żeby pieniądze ode mnie traktował jak darowiznę.

Lauren kurczowo wczepiła się palcami w poręczę fotela. Okropna, mdląca słabość ścisnęła jej żołądek, przed oczami zamigotały czarne plamy.

A więc ojciec wiedział, że samolot jest wadliwie skonstruowany. Od samego początku miał świadomość niebezpieczeństwa, na jakie się naraża, a mimo to oblatywał go, testując różne pomysły na naprawienie usterki. Rozmyślnie ryzykował życie. I zginął, a wszystkiemu winne były przeklęte pieniądze. Gdyby nie zaciągnął długów, nie czułby honorowego przymusu, by je spłacić... i żyłby do dziś.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej o tym wszystkim? - spytała, z trudem poruszając wargami.

- Nie mogłam. - Głos Jacqui się załamał. Zaczerpnęła tchu gwałtownie, rozpaczliwie, jak człowiek, który się dusi. - Gdybym nie finansowała jego prac... gdybym go nie zachęcała... twój ojciec by nie zginął. Proszę, Lauren, musisz zrozumieć, że robiłam to z miłości do niego. Chciałam, żeby był szczęśliwy.

Lauren nie miała siły na to, by próbować wzbudzić w sobie współczucie dla Jacqui. W tej chwili czuła tylko zaciekle, rozpaczliwy bunt.

- Sfinansowałaś jego samobójczą misję - wybuchła. - To dość oryginalny sposób okazywania miłości.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

„Piloci nie płaczą”.

Słowa ojca kołatały się w głowie Lauren niemilknącym echem. Ponure, czarne nocne godziny zdawały się wlec bez końca. Gdyby ktoś ją spytał, co w tym czasie robiła, miałaby trudności z odpowiedzią. Pamiętała, jak oślepiona łzami, ścigana bezradnym wołaniem matki wybiegła z rezydencji Hightowerów. Pamiętała, że wsiadła do samochodu i ruszyła przez opustoszałe o tej porze ulice miasta. Ale nie wiedziała, jak długo jeździła bez celu. Nie była w stanie wrócić do swojego mieszkania i położyć się do łóżka. Sen był ostatnią rzeczą, o której myślała, kiedy emocje rozrywały jej duszę na strzępy niczym sfora wściekłych psów. Żał do ojca, że ukrywał przed nią prawdę. Teraz rozumiała, dlaczego zakazał jej latać tym nieszczęsnym samolotem. Chronił ją. Ale o tym, że ona miała prawo chronić jego, już nie pomyślał. Odmówił jej tego prawa. Żał do matki, która mogła użyć swoich wpływów, by powstrzymać Kirka. Żał do Lou, który musiał przecież wiedzieć o umowie między jej rodzicami, ale nie zdradził się przed nią ani słowem. I wreszcie niepewność co do przyszłości Falcon Air - firma była zadłużona, bo ojciec wypompowywał z niej pieniądze, żeby opłacać swój projekt. Widocznie sumy, które dostawał od Jacqui, nie wystarczały. Jeśli towarzystwo ubezpieczeniowe odkryje, że Kirk Lynch wiedział o wadze konstrukcyjnej samolotu, może odmówić wypłaty odszkodowania. Lauren nie sądziła, by Falcon mogła się podnieść po takim ciosie. Czeka ich ogłoszenie bankructwa i upokarzająca licytacja...

Gdzieś w labiryncie podmiejskich uliczek, wśród uszpionych domów z ogródkami, ostatecznie się poddała. Zgasiła silnik, oparła głowę na kierownicy i wybuchła gwałtownym, gorzkim płaczem. Szloch bez końca wstrząsał jej ciałem, nagle tak słabym, jakby była śmiertelnie chora.

Ocknęła się o świcie, skostniała z zimna, zdrewniała od drzemki w niewygodnej pozycji. Pod powiekami miała piasek, a głowa pękała jej z bólu, ale emocje trochę się wyciszyły.

Musiała zobaczyć się z Gage'em, opowiedzieć mu o wszystkim. Miał prawo wiedzieć, że jej życie wali się w gruzy. Zresztą, nie udałoby jej się ukrywać tego przed nim, nawet gdyby chciała.

Zamknęła oczy i przywołała w pamięci obraz jego pięknej twarzy, uważnych, mądrych oczu pod śmiałymi łukami brwi, zmysłowych ust, które tak często zaciskał w grymasie pełnym uporów. Teraz, kiedy cierpiała, potrzebowała jego bliskości jak powietrza.

Instynktownie czuła, że jemu właśnie chce zaufać, zwierzyć się ze wszystkiego, co ją gnębiło.

Jej serce wypełniła żarliwa, prawie bolesna tęsknota za bezpiecznym schronieniem jego silnych ramion. Odrzuciła głowę na oparcie fotela i niespodziewanie dla samej siebie wybuchła szalonym śmiechem.

Była zakochana w Gage'u Faulknerze. Jak mogła dotąd się nie zorientować?

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale muszę z tobą o czymś porozmawiać. To pilne.

Gage podniósł głowę znad ekranu komputera, uśmiechając się szeroko, zupełnie jakby głos Lauren miał magiczną moc wzbudzania w nim radości. Było wcześniej rano i jej wizyta w biurze stanowiła całkowitą niespodziankę. Bardzo miłą niespodziankę. Kiedy poprzedniego dnia wrócili do Knoxville, postanowił, że poczeka aż ona zrobi pierwszy krok - miała dużo do stracenia, jeśli ktokolwiek dowiedziałby się o namiętności, która ich połączyła. Dlatego uważał, że Lauren powinna ustalić zasady ich relacji. Jemu zaś nie pozostawało nic innego, jak się podporządkować.

Wstał na jej powitanie, a ona ruszyła ku niemu przez gabinet, niemal biegnąc. Zmarszczył brwi. Coś było nie tak. Lauren miała chorobliwie bladą twarz i podkrążone oczy, jakby ostatniej nocy w ogóle nie spała. Jej włosy były potargane, a ubranie zmięte. Palce kurczowo zaciskała na kluczykach samochodu.

- Usiądź, proszę. - Kiedy opadła na fotel, podszedł do ekspresu do kawy, nalał pełen kubek gorącego napoju i włożył go w jej lodowate dłonie. - Powiedz mi, co się stało.

- Najpierw obiecaj, że wysłuchasz mnie do końca, zanim mnie osądzisz - zaczęła z wahaniem.

Trema chwyciła ją za gardło. Musiała powiedzieć Gage'owi o tym, że Jacqui od dawna pompowała pieniądze w projekt realizowany przez jej ojca. A więc Trent, podej-

rzewając Lauren o zakusy na majątek Hightowerów, w sumie niewiele się pomylił. Choć ona nie miała z tym nic wspólnego, Kirk przyczynił się walnie do uszczuplenia kont Jacqueline Hightower.

Tato, jak mogłeś mi to zrobić?

- Od co najmniej siedmiu lat Jacqueline regularnie wspomagała finansowo działalność mojego ojca - wypaliła, zamykając oczy.

Gage poczuł się tak, jakby dostał cios w żołądek. Wszystkiego mógł się spodziewać, ale nie tego, że Lauren będzie chciała rozmawiać z nim o rodzinnych pieniądzach. I że potwierdzi podejrzenia Trenta - sumy, które wypływały z kont Jacqueline, trafiały w ręce rodziny Lynchów. Córka musiała przecież wiedzieć, co knuł ojciec.

- O jakich sumach mówisz? - spytał sucho.

- Nie wiem. Nie chciała powiedzieć. - Lauren urwała, wzięła głęboki oddech. - W dodatku wczoraj spłaciła kredyt, który zaciągnęłam, żeby kupić mojego cirrusa.

Gage'owi zrobiło się zimno. Tajemnica niedawnych wypłat z konta Jacqueline też się wyjaśniła. Matka Trenta i Lauren, nie chcąc zwrócić uwagi księgowego jednorazowym przelewem opiewającym na tak dużą kwotę, stopniowo wyciągała pieniądze i gromadziła je na specjalnym koncie, które założyła w tajemnicy. Miała pecha, bo księgowy Hightowerów okazał się bardzo podejrzliwy i przejrzał jej manewr. Dotąd jednak nikt nie wiedział, jakie było przeznaczenie pieniędzy.

„Ostrzegam cię, że jeżeli nie uzyskam tego od ciebie, wyjadę i nigdy więcej mnie nie zobaczysz”. - Gniewne słowa Lauren wyraźnie rozbrzmiały w głowie Gage'a. Dobrze pamiętał złość, a nawet groźbę, która czaiła się w jej głosie. Cóż, najwyraźniej uzyskała to, czego się tak gwałtownie domagała...

- Nie prosiłam jej o te pieniądze.

Potrząsnął głową w milczeniu. Jej oczy były tak pełne szczerego żaru, że byłby jej uwierzył, gdyby na własne uszy nie usłyszał fragmentu rozmowy, która poprzedniego dnia odbyła z matką przez telefon.

- Tysiąc razy mówiłam jej, że nie chcę od niej pieniędzy. Nigdy nie chciałam. Na urodziny zawsze dawała mi drogie, okazałe prezenty... balowe suknie, biżuterię... a ja marzyłam o tym, żeby po prostu była przy mnie, kiedy dorastałam, opatrywała stłuczone

kolana, uczyła malować rzesy i ostrzegała przed zakusami chłopaków... Przyjechałam do Knoxville, że by uzyskać od niej odpowiedzi na ważne dla mnie pytania, ale Jacqui wciąż się wydawało, że może mnie zbyć, dając mi kasę...

Bez ruchu, porażony bólem promieniującym z miejsca, gdzie jego serce uderzało z wysiłkiem, słuchał potoku słów, którym go zalewała. Mówiła zbyt szybko, zbyt dużo. I nie patrzyła mu w oczy. Dość długo chodził po tym świecie, by wiedzieć, że tak właśnie zachowują się ludzie, którzy mają coś do ukrycia. I bezczelnie kłamią.

- Mam zamiar wziąć kredyt, żeby oddać matce pieniądze. Ale...

- Ale co, Lauren?

Rzuciła mu spojrzenie, w którym było nieme błaganie.

- Falcon Air ma poważne kłopoty finansowe. Jeśli towarzystwo ubezpieczeniowe nie wypłaci odszkodowania z polisy ojca, grozi nam bankructwo. Chyba że zechcesz mi pomóc.

Lauren schyliła głowę i zacisnęła palce na kubku z gorącą kawą. W ustach miała zupełnie sucho, ale wiedziała, że nie przełknie ani łyka. Emocje dławiły ją w gardle. Od tego, jak Gage zareaguje na jej prośbę, zależało wszystko. Był jedynym człowiekiem, który mógł uratować Falcon. Jego praca polegała na znajdowaniu dróg ratunku dla upadających firm. Lauren nie wątpiła, że gdyby tylko zechciał zająć się Falcon Air, dokonałby cudu i postawił firmę na nogi. Kiedy zebrała się na odwagę i spojrzała znów na Gage'a, zrozumiała, że przegrała. Cud, na który liczyła, nie miał się wydarzyć.

- Mam ci pomóc? - wycedził Gage, mrużąc oczy.

Nienawiść i pogarda w jego wzroku zmiażdżyły ją, pozbawiły tchu.

- Przez lata razem z ojcem doiliście Jacqueline, ale apetyt rośnie w miarę jedzenia, prawda? Więc postanowiłaś dobrać się do mojej kieszeni.

Pobladła gwałtownie, otworzyła usta.

- Nie - wyszeptała samymi wargami, bez dźwięku.

Musiał przyznać, że była świetną aktorką. Może nawet lepszą niż jego była żona. Mało brakowało, a i jej bajeczkę by kupił. Czuł się jak ostatni idiota. Kiedy kłamstwa Angeli wyszły na jaw, przysiągł sobie, że już nigdy nie da się omotać kobiecie. Ale wystarczyło, by Lauren zechciała obdarzyć go wdziękami, a kompletnie zgłupiał.

- Nie myślałam o pieniądzach. - Głos się jej łamał. - Chciałam cię prosić, żebyś zrobił dla Falcon Air ekspertyzę, taką jak robisz dla innych firm, które wyciągasz z kłopotów.

- Zamierzasz wynająć usługi Faulkner Consultants? - Uśmiechnął się zimno. - Chyba powinienem cię ostrzec, że nie jestem tani.

- Oczywiście, że nie stać mnie na ciebie - powiedziała szybko, spuszczaając wzrok. - Ale myślałam... że jakoś to załatwimy.

- Ach, tak? Rozumiem, że chciałaś płacić mi w naturze.

- Jak możesz tak mówić? - Kolor wrócił na jej policzki.

Zerwała się z miejsca, omal nie rozlewając kawy.

- Przecież to oczywiste. Ja mam coś, czego ty potrzebujesz. A kto nie ma srebra ani miedzi, ten płaci tym, na czym siedzi...

Cofnęła się, a na jej twarzy odmalował się szok. Zamrugowała, jakby nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy.

- Chciałam ci zaproponować darmową obsługę wszystkich twoich lotów. Nie jako klientowi Hightower Aviation, tylko w ramach umowy na wymianę usług między mną a tobą. Gage... nie planowałam wyłudzić od ciebie pieniędzy. Musisz mi uwierzyć. Przecież... ja cię kocham.

Jej słowa eksplodowały w jego piersi przeszywającym bólem. Jakaś naiwna cząstka jego duszy pragnęła, żarliwie pragnęła uwierzyć, że uczucia Lauren są szczerze. Wzdrygnął się, głęboko zniesmaczony własną słabością. Wiedział przecież aż za dobrze, że kobiety potrafią powiedzieć wszystko, żeby tylko uzyskać to, na czym im zależy.

- Nic z tego - warknął. - Radź sobie sama. Nie potrzebuję już twoich usług. Żegnaj, Lauren. Mam nadzieję, że wiesz, gdzie są drzwi.

Odstawiła nietknięty kubek kawy na blat biurka, tak ostrożnie, jakby to była tykająca bomba zegarowa. Dolna warga jej drżała; przygryzła ją, a potem spojrzała na Gage'a oczami, w których była pustka. Stała nieruchomo przez kilka sekund, jakby na coś czekając, wreszcie gwałtownie odwróciła się i wyszła.

Stłumił w sobie dziwaczną chęć, żeby za nią pobiec i wszystko odwołać. Potrząsnął głową, zniecierpliwiony. Powinien raczej gratulować sobie przytomności umysłu. Właśnie wywinął się z sideł kolejnej przebiegłej łowczyni fortun.

Dlaczego więc nie czuł najmniejszej satysfakcji?

Lauren jeszcze raz przesunęła palcem po czeku wystawionym przez towarzystwo ubezpieczeniowe i przeliczyła zera w wypisanej na nim sumie.

- Zdaje się, że ciągle nie możesz uwierzyć w to, co widzisz - zaśmiał się Lou. - Nasze kłopoty się skończyły, dzieciно.

Alleluja, pomyślała Lauren. Powinna czuć ulgę. Powinna skakać z radości. Dlaczego więc było jej źle. jakby trawiła ją nieuleczalna choroba?

- Dziecino, skończ wreszcie z tą chandrą. Zabieram cię na piwo. Wyraźnie potrzebujesz czegoś na podniesienie morale, a tak się składa, że dziś mamy co opić.

- Nie mam żadnej chandry - zaprotestowała, urażona.

- Nie? - Lou wykrzywił usta w złośliwym grymasie, ale jego bystre oczy pełne były szczerzej troski. - Odkąd wróciłaś z Knoxville, masz taką długą, minę, że jeszcze trochę, a będzie można używać jej zamiast ładowiska. Coś mi się zdaje, że zostawiłaś tam niedokończone sprawy. I nie mówię tu o twojej matce.

- Źle ci się zdaje. - Lauren wbiła ręce w kieszenie džinsów i podeszła do okna, skąd roztaczał się widok na hangary należące do Falcon Air. - Bez wzajemnego zaufania nie ma niczego. Niczego więc nie zostawiłam w Knoxville.

Szkoda, że jej głupie serce nie chciało przyjąć do wiadomości zdroworozsądkowych argumentów. Bolało tak, jakby rozszarpano je na strzępy.

- Lou, chętnie bym się wybrała z tobą na piwo, ale za dziesięć minut zaczynam lekcję pilotażu. Muszę iść, przygotować cirusa. - Zabrała torbę ze sprzętem i ruszyła do wyjścia.

Wuj zastąpił jej drogę.

- Dziecinko, nie mogę patrzeć na to, co się z tobą dzieje - wyrzucił z siebie, porzucając swój zwykły, ironiczny ton. - Przez te trzy tygodnie schudłaś chyba z dziesięć kilo. Marniejesz w oczach. Jeśli jest cokolwiek, co mógłbym zrobić...

Wzruszenie wezbrało w jej piersi gorącą falą. Lou był naprawdę kochany. Dobrze było być znowu w domu. Ten stary przyjaciel i Falcon Air to wszystko, co miała na tym świecie.

- Nie przejmuj się, wujku. - Posłała mu nienaturalnie dziarski uśmiech. - Ta moja przypadłość... jest jak katar. Pomęczy i minie.

Poklepała Lou po ramieniu serdecznym gestem, obróciła się na pięcie i pomaszowała w stronę hangaru. Łzy znów piekły ja pod powiekami. Musiała się chyba nabawić alergii na jakieś cholerne pyłki. Życie jest piękne, tłumaczyła sobie, przygotowując cirrusa do lotu. Nie była nic winna Hightowerom - właśnie dostała nowy kredyt i wysłała Trentowi czek na dwieście tysięcy dolarów. Była pewna, że przyrodni brat nie podziela skrupułów matki i dopilnuje, żeby pieniądze wróciły na właściwe konto. Falcon Air była wolna od długów dzięki pieniądзом z polisy ojca. Został jej tylko do spłacenia kredyt, ale to nie stanowiło problemu - Lauren nie bała się ciężkiej pracy. Tak, życie naprawdę było piękne.

Dlaczego więc nie potrafiła się nim cieszyć?

Samolot gładko wylądował, wytracił prędkość i zatrzymał się. Gage rozpiął pas, wstał i podziękował pilotowi za wspólny lot. Pilot był szpakowaty, miał pięćdziesiątkę na karku i wydatny brzuch. W najmniejszym stopniu nie przypominał... Lauren.

Odpędzając obsesyjne myśli o tej dziewczynie, która tak bardzo go zawiodła, włożył płaszcz, wziął aktówkę i zaczął schodzić po trapie. Im szybciej wróci do biura i weźmie się do pracy, tym lepiej.

Zauważył Trenta dopiero, kiedy omal na niego nie wpadł. Przyjaciel stał, milczący i nieruchomy, u stóp trapu. Rysy twarzy miał ściągnięte, jakby z trudem panował nad wzburzeniem. W odpowiedzi na pytający wzrok Gage'a wyciągnął dłoń. Trzymał w niej sztywną kartkę papieru zadrukowaną ozdobnym pismem.

Gage bez słowa wziął od niego dokument. Miał nadzieję, że nie stało się nic bardzo złego. Nie miał głowy do kolejnych dramatów z członkami rodziny Hightowerów w roli głównej. Jeden rzut oka na kartkę wystarczył, by skoczyło mu ciśnienie.

Patrzył na czek bankowy wystawiony na nazwisko Trenta Hightowera, opiewający na kwotę dwustu tysięcy dolarów. Przeczucie graniczące z pewnością przeszło go gwałtownym, nieprzyjemnym dreszczem, kiedy spojrzał na nazwisko wystawcy. Nie mylił się: Lauren Lynch. Kiedy te dwa słowa utworzyły w jego mózgu obraz szczupłej dziewczyny o bladej twarzy i oczach pełnych bólu, poczuł, jak jego barki przygniata ogromny ciężar.

- Właśnie to dostałem - odezwał się Trent grobowo. - Razem z listem, w którym Lauren wyjaśnia, że matka nie chciała przyjąć od niej zwrotu pieniędzy. Dlatego wysłała czek mnie, żebym zrobił z tą sumą to, co uważam za słuszne. Dodatkowo zobowiązała się uiszczać co miesiąc kwotę tysiąca dolarów, zwracając w ten sposób pieniądze, które Jacqueline przekazywała Kirkowi Lynchowi w akcie darowizny przez ostatnie siedem lat.

Gage jęknął głucho.

- Co z tobą? - zaniepokoił się Trent, który sam miał bardzo nietęgą minę.

- Bałem się jej zaufać. Bałem się uczuć, które we mnie obudziła - wyrzucił z siebie Gage, stając na środku pasa startowego. Nie starał się mówić cicho, więc trzech mechaników, przechodzących akurat obok, spojrzało na niego z rozbawieniem. - Wyrzuciłem ją z biura, kiedy przyszła prosić mnie o pomoc. Wyrzuciłem ją z mojego życia, bo sobie ubzdurałem, że jest taką samą kłamliwą, chciwą zdzirą jak Angela. Skrzywdziłem ją. Nie wiem, czy istnieje sposób, w jaki można przeprosić za taką krzywdę.

- Zaraz, chwileczkę. - Trent zmarszczył brwi i przyjrzał się przyjacielowi z uwagą.

- Ty i Lauren? Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

- Było jeszcze za wcześnie, żeby cokolwiek mówić - skrzywił się Gage. - A teraz już jest po wszystkim. Potraktowałem ją... jak ostatni łajdak.

- No to witaj w klubie - stęknął Trent. - Od początku byłem wobec niej niesprawiedliwy. Wyobraziłem sobie, że pojawiła się w Knoxville, ponieważ zwąchała łatwy zysk, i byłem święcie przekonany, że mam rację. Żeby się jej pozbyć, zwałłem na nią najcięższe, najbardziej niewdzięczne zadania. Latała marnymi samolotami, użerała się z chamskimi pasażerami, dostawała najgorsze godziny lotów. Jestem pewien, że każdy inny pracownik na jej miejscu oskarżyłby mnie o mobbing i wygrał sprawę w sądzie. Dzi-

siaj rano, kiedy tylko dostałem ten nieszczęsny czek, poleciałem pokazać go matce. Wszystko mi opowiedziała.

- Kocham ją - oświadczył nagle Gage z wielką pewnością. - Lauren, a nie twoją matkę - dodał szybko, widząc osłupienie na twarzy przyjaciela.

- Uf, co za ulga. - Trent skrzywił się komicznie, ale zaraz spoważniał. - Do licha, Gage, powinieneś był mi powiedzieć. Do głowy mi nie przyszło...

- Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby to naprawić. - Gage ruszył tak szybko w stronę parkingu, że Trent ledwo za nim nadążał. - Mogę jeszcze to naprawić - mówił gorączkowo. - Przecież ja właśnie tym się zajmuję. Opracowuję strategie wyjścia z sytuacji beznadziejnych. I jestem w tym naprawdę dobry.

Trent złapał Gage'a za ramię.

- Stój, dokąd tak pędzisz? Moim odrzutowcem dotrzesz do Daytony o wiele szybciej niż samochodem.

Oczy Gage'a zapłonęły.

- To jest myśl. Każ przygotować najszybszą maszynę z twojej floty.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Lauren siedziała w fotelu drugiego pilota, czekając, aż jej siedemnastoletni uczeń mozolnie wypełni dziennik pokładowy. Z okna kokpitu widać było ruch przed hangarami Falcon Air, przylegającymi do lotniska w Daytonie. Jak to dobrze, że firmie nie groziło już bankructwo. Nie mieli może tak luksusowych samolotów jak Hightower Aviation, ale...

Wątek jej myśli urwał się, kiedy zobaczyła samolot, który nie miał prawa znajdować się przed jej własnym hangarem, na ziemi należącej do jej firmy.

Przetarła oczy, ale wizja nie zniknęła - od strony lotniska majestatycznie nadjeżdżał Sino Swearingen SJ30-2. Najlepszy samolot we flocie Trenta.

Zakręciło jej się w głowie, zupełnie jakby właśnie wykonywała podwójną pętlę odzutowcem.

Trent Hightower dokonał inwazji na terytorium Falcon Air. Czego tu szukał?

Samolot zatrzymał się na sąsiednim polu postojowym. Lauren schowała głowę w ramiona. Nie chciała widzieć Trenta.

Chyba że przyjechał, żeby ją przeprosić. Jeśli planował czołgać się u jej stóp i wyznawać swoje winy, mogła okazać mu łaskę i udzielić krótkiej audiencji. Wyobraziła sobie tę scenę ze szczegółami i parsknęła śmiechem, a uczeń spojrzał na nią, zdumiony.

- Sprawdźmy, czy nie pominęliśmy żadnego etapu kontroli samolotu po wylądowaniu - powiedziała, koncentrując się na lekcji. Jeśli Trent ma do niej jakąś sprawę, będzie musiał poczekać. Tak jak ona wielokrotnie czekała przed jego gabinetem.

Kiedy wszystkie parametry zostały dwukrotnie sprawdzone, chłopak rzucił Lauren zdawkowe „do widzenia, psze pani” i z hukiem zbiegł po trapie. Popatrzyła za nim z uśmiechem. Dobrze pamiętała, jak to było, kiedy miała siedemnaście lat.

Jeszcze dobrych pięć minut kręciła się po samolocie, wynajdując sobie coraz to nowe zajęcia. W końcu jednak musiała opuścić bezpieczne schronienie kabiny cirrusa. Odetchnęła głęboko, trzema susami zbiegła po trapie... i stanęła oko w oko z Gage'em.

Zaskoczenie zdławiło jej oddech, zmroziło krew, poraziło wszystkie nerwy jej ciała. Zamarła w bezruchu. Jej myśli rozpierzchły się jak spłoszone wróble. Pustkę wypełni-

ła instynktowna, nagła radość. Był tak blisko, na wyciągnięcie ręki. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę go widzi. Kiedy jej serce znowu zaczęło bić, wspomnienie ich ostatniej rozmowy przyniosło ból. niesprawiedliwe słowa, które rzucił jej w twarz, głęboko ją zraniły. Ofiarowała mu serce, a on potraktował ją kopniakiem jak naprzykrzającego się kundla.

Po co przyjechał? Nie dość już ją skrzywdził?

- Witaj, Lauren. - Gage postąpił krok w jej stronę.

- Witaj, Gage. - Nie poruszyła się.

Patrzyła na niego czujnie, jakby był jadowitym wężem, na którego omal nie nadepnęła przez nieuwagę.

- Musimy porozmawiać - powiedział z wysiłkiem.

Strach, że nie uda mu się jej odzyskać, zamienił jego żołądek w bryłę lodu.

- Jestem zajęta. - Osłoniła się dużą skórzaną torbą niczym tarczą.

- Powiedz, kiedy będziesz mogła poświęcić mi chwilę.

- Wiesz, chyba nigdy. - Z chłodnym uśmiechem wyminęła go, ruszając w stronę niewielkiego budynku opatrzonego godłem Falcon Air. - Wracaj do domu, Gage. Tutaj tracisz tylko czas.

- Najpierw muszę ci coś przekazać. - Zrównał z nią krok. W dłoni trzymał kopertę z nagłówkiem Hightower Aviation. - To od Trenta.

Zaskoczona, wzięła od niego papier. Odeszła z pracy w Hightower Aviation z dnia na dzień i nie sądziła, by przyrodni brat ronił łzy z powodu jej zniknięcia. Co mógł chcieć jej przesyłać?

Otworzyła kopertę i zatrzymała się w pół kroku. Ze środka wysunął się czek na dwieście tysięcy dolarów. Podpisany przez nią poprzedniego dnia.

- To nie należy do mnie. - Drżącymi palcami wepchnęła dokument z powrotem do koperty.

Kiedy próbowała wcisnąć ją Gage'owi, ten odsunął się tylko.

- Trent nalegał, żebym ci to wręczył. Prosi, żebyś spłaciła zaciągnięty kredyt. Jeśli nie zgodzisz się przyjąć czeku z powrotem, mam go podrzeć na twoich oczach. On nie ma zamiaru go realizować ani przyjąć pieniędzy od ciebie.

- Trent nie może mi tego zrobić.

- Trent może zrobić właściwie wszystko, co mu się podoba. - Kąciki ust Gage'a uniosły się w uśmiechu. - Jego rodzeństwo także. Powinnaś zacząć się do tego przyzwyczajać, bo teraz jesteś jedną z nich.

- Akurat - prychnęła. - Co z tobą, Gage? Zostałeś chłopcem na posyłki Trenta? Czy chociaż godziwie ci płaci za fatygę?

- Nie jestem niczym chłopcem na posyłki. Zgodziłem się dostarczyć czek, bo i tak planowałem przyjechać do ciebie.

- Niepotrzebnie. - Usta jej zadrżały. - Bo ja nie chcę cię widzieć.

- Popełniłem błąd - powiedział żarliwie, zastępując jej drogę, zmuszając, żeby się zatrzymała. - Pozwól, żebym ci pomógł wyprowadzić Falcon Air z kryzysu. Jestem gotów zainwestować w twoją firmę tyle, ile będzie trzeba, żeby postawić ją na nogi.

- Dziękuję za propozycję. - Przechyliła głowę, przyglądając mu się uważnie, jakby się nie mogła zdecydować, czy ma mu uwierzyć. - Ale twoja pomoc już nie będzie potrzebna. Dzięki wypłacie z polisy ubezpieczeniowej ojca wyszliśmy na prostą.

- W takim razie, może ty mogłabyś mi pomóc?

- W czym? - zdumiała się.

Nie miała pojęcia, co kombinował.

- Planuję zakup nieruchomości w tej okolicy, a jestem tu nowy i nie wiem, co i jak. Potrzebuję porady.

- Szukasz czegoś na wakacje? - Zmarszczyła brwi.

- Nie. Jestem zainteresowany sporym lokalem biurowym, bo zamierzam przenieść siedzibę Faulkner Consulting do Daytony. Chcę kupić też dom mieszkalny, koniecznie z dużym garażem. Moje mieszkanie w Knoxville wystawiłem już na sprzedaż.

Przez jedną szaloną chwilę pozwoliła sobie na złudną nadzieję, ale zaraz wróciła do rzeczywistości. Nie miała zamiaru pozwolić, by Gage bawił się jej kosztem.

- Rozumiem - powiedziała chłodno. - Paskudny klimat Knoxville każdemu w końcu da w kość.

- To też - odnalazł spojrzeniem jej oczy. - Ale główny powód jest inny. Zakochałem się na śmierć i życie w pewnej pilotce z Daytony, która w wolnym czasie jeździ na harleyu. Przeprowadzam się tutaj, bo nie mogę bez niej żyć.

Lauren zmyliła krok, nogi się jej splątały. Byłaby upadła, gdyby Gage nie otoczył jej ramieniem. Kiedy odzyskała równowagę, nie puścił jej. Poczuł, jak sztywnieje w jego objęciach, ale nie zrobiła najmniejszego gestu, żeby się uwolnić.

- Byłem ślepy i głupi i skrzywdziłem ją, a ona odeszła - mówił dalej. - I wtedy moje życie zamieniło się w piekło. Nie śpię, nie jem, nie mogę się skoncentrować na pracy. Nawet w domu przestałem już nocować, od trzech tygodni koczuję w samolocie, którym z nią latałem. Wykończę się, jak tak dalej pójdzie. Chyba że uda mi się ubłagać ją, żeby mi wybaczyła.

Serce Lauren biło tak mocno, że ledwo słyszała słowa Gage'a. Wzięła głęboki oddech.

- Jeżeli wydaje ci się, że to jest zabawne, Faulkner, to masz dziwne poczucie humoru.

- Nie ma nic zabawnego w tym, że przez własne tchórzostwo sprawiłem ból kobiecie, którą kocham - powiedział cicho, zaglądając jej w oczy.

W jego wzroku był szczery żal i niewypowiedziane błaganie.

- Teraz muszę udowodnić jej, że zrozumiałem mój błąd. Muszę ją jakoś nakłonić, żeby mi wybaczyła. Ona jest całym moim życiem.

- Jak... zamierzasz to zrobić? - spytała bez tchu.

- Nie mam pojęcia - powiedział ze smutkiem. - Ale będę próbował różnych sposobów przez najbliższych pięćdziesiąt lat. Jak myślisz, uda mi się w końcu?

Nie odpowiedziała. Poczula coś gorącego na policzkach, dotknęła dłonią twarzy i ze zdziwieniem odkryła, że płacze. Gage uniósł jej dłoń do ust i pocałował palce, mokre i słone od łez.

- Lauren, wiem, że znamy się od niedawna i że popełniłem niewybaczalne błędy - powiedział poważnie. - Jestem gotów czekać na twoją decyzję tak długo, jak będzie trzeba. Ale ja moją już podjąłem. Kocham cię i chcę spędzić z tobą resztę życia. Proszę, obiecaj, że dasz mi szansę.

Wzruszenie wybuchło w niej niczym pożar, w jednej chwili trawiąc cały żal i smutek, który przygniatał ją przez ostatnie tygodnie. Znowu mogła odetchnąć pełną piersią. Znowu czuła, że żyje.

Odwinęła się i dała Gage'owi potężnego kuksańca w bok.

- Gdybyś podjął tę swoją decyzję trochę szybciej, oszczędziłbyś mi trzech tygodni piekła - powiedziała groźnie, ale jej złote oczy pełne były czułości.

Spojrzał na nią zdumiony, a potem odrzucił głowę w tył i śmiał się długo, radośnie.

- Mam nadzieję, że nasze dzieci będą miały równie zadziorny charakter, jak ich mama.

- Dzieci? - Usta jej zadrżały, po czym rozchyliły się w uśmiechu. Z oczu znów popłynęły łzy. - Widzę, że opracowałeś już cały biznes plan. Można wiedzieć, ile dzieci przewidujesz?

- Najlepiej cały hangar.

Kiedy się roześmiała, zobaczył w jej oczach przebaczenie. Nie czekał ani chwili dłużej. Porwał ją w ramiona, przycisnął do siebie i odnalazł ustami jej usta. Odpowiedziała mu pocałunkiem, pieszczotą dłoni, miłością w oczach. Zatracił się w niej. Była gorąca jak radość życia, smakowała obietnicą szczęścia.

- Ja też cię kocham, Gage - wyszeptała wprost w jego usta. - I mam zamiar spędzić z tobą resztę życia. Tylko spróbuj odwieść mnie od tego zamiaru!

